

WIEŚ

tygodnik społeczno-literacki

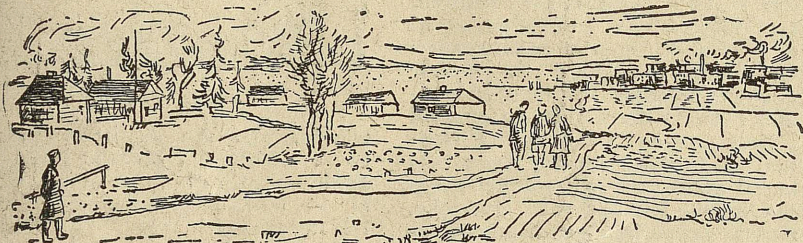
Rok VIII

Warszawa, dn. 5. VIII. 1951 r.

Nr 31 (313)

PIOTR CHMURA

KRONIKA RODZINY



MICHAŁ ISAKOWSKI

Tłum. Anna Kamińska

LIST

Przed chatą mroczna stoj jedlina,
Stoi i patrzy na zachód twarzą.
I pisze, pisze młoda dziewczyna
List do rajkomu,
Do sekretarza.

I blask zachodu pożełgalny
Płynię z dalekich pól, zza rzeki,
„Piszę do ciebie
List oficjalny
I czekam
Dalszych dyrektyw

Z robotą u mnie nie tak znów tego,
Nie to co było wcześniej.
I sama nie wiem już dlaczego
We śnie ciebie ujrzałam,

To znowu serce mi się kraje,
Rozpaczę i złość mnie bierze,
Bo zrozum — nijkak się nie udaje
Zwołać zebrania młodzieży.

Ale zbyt ostro nie chciej nas winić,
Wszystkiemu winni bogacze,
Własny
Osobny gościniec
Mają przy każdej chacie.

„Nie trza nam — mówią — baśni,
Znamy my wasze straszaki...”
W związku z tym chciej mnie objaśnić,
Kto jest właściwie średniakiem.

Gdzie podobieństwa, różnice,
Ani rusz pojąć nie mogę.
A two
Osobiste wytyczne
Bardzo by mi pomogły.

Ty w polityce, jak w domu,
A ja
Wciąż boję się wpadki,
I w ogóle związek z rajkomem
Mamy zbyt słaby
I rzadki.

Problem to jest aktualny,
Rozstrzygnąć go pora się zdarza,
Lecz wszystko to
Oficjalnie,
Nie sobie nie wyobrażaj..

I jeszcze coś. Sztucznie grać chcemy
Przyjdź nam referat odczytać.
U nas tu w porze jesieni
Tak pięknie jest w zagajnikach.

Przyjdź! Znasz się na referatach,
A jak nie —
Ja zrobię wszystko...
Ale sekretarz biurokrata
Nie pojął kobiecego listu.

Gniewny dopisek w górę stanął,
Skrzygnęło pióro żałosliwie:
„Znowu z robotą nawalają.
Bez zwłoki na egzekutywę!”

I w teczkę,
Gdzie nieczyste listy,
Gdzie protokoły suche rządzą,
Wpadły
Wytyczne osobiste
I umarł cicho
Żywy związek.

1927.

ROZMOWA Z REDAKTOREM

Rzekł mi niedawno smoleński redaktor:
— Pocóż ty, bracie, pchasz się do gazety,
Gdzie w twym wierszu jest spółdzielczy traktor? —
Stwierdziłem smutno, że nie ma, niestety.

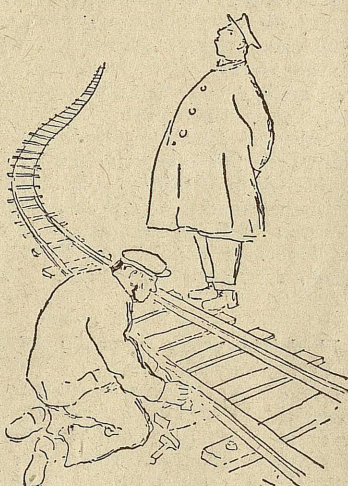
Lecz wnet rzuciłem z ognistym zapalem
(Smak redaktorski to cała nauka):
Zato młockarnia w tym drugim rozdziale
Od szóstej zwrotki do piętnastej stuka.

Redaktor odparł z grymasem znajomym,
Niby że dąbło zajęty w tej porze:
— Zrozum, kolego, że organ gubkomu
Z jedną młockarnią drukować nie może...

Odtąd rzuciłem miejscową gazetę.
Kłócić się szkoda energii i siły.
Zle na prowincji jest życie poety,
Który nie pisze na pierwszej linii!

1927.

Nasza rozmowa toczyła się pod jabłonią, na środku podwórza, porośniętą trawą. Gospodarstwo to wespół z czterema innymi stanowiło kolonię. Takich kolonii rościło się kilkanaście wokół głównej, ulicowej części wsi. W owym centrum widać kościół, liceum, filię spółdzielni GS-u, mleczarnię, świetlicę, szopę i warsztat SOM-u, tam też pola chłopie otaczają (po skomasywowaniu) szmat ziemi spółdzielczej.



W spółdzielni produkcyjnej jest 21 członków, stanowi to jedną dziesiątą część wszystkich rodzin w gromadzie. Stan ten trwa od roku. Nikt z zespołu nie ubył, ale też nikt nie przybył.

Baba z chłopem rozsiadli się pod jabłonią, bo jest niedziela i popołudnie, ostatnia niedziela przed zniwami.

Znalazłem się w jednym z ogniw pierścienia indywidualnych gospodarstw, okalających wszystko co w tej wsi społeczne.

Gdyby to była scena obrotowa, jak w teatrze, ujrzelibyście wieś ze wszystkich stron z owym pierścieniem na pierwszym planie. Pod drzewami, na przyzłazach, na ganach siedzieli ludzie pograżeni myślami w urodzaju, w obliczeniach i wspomnieniach. Niechże Wam się zakręci ta karuzela, od kolonii do kolonii, od sąsiada do sąsiada, od grupki do grupki. Wiecej zrozumiemy, że w centrum wsi na zebraniu spółdzielców.

Ale jest jeszcze popołudnie i stoi przede mną zadanie wbić się w ów pierścień chłopskiej karuzeli. Zadanie nie łatwe, bo nie wyglądam na takiego, co to idzie z nurtem tej karuzeli, ale przecina ją, wychodząc ze spółdzielni, ze społecznego centrum wsi. „Dziś cię w drzewo kuje a nos sobie pusze”, tak zdają się mnie witać uśmiechnięte oczy gospodarzy, wypoczywających, sytych, rozmarzonych urodzajem i pewnych już swego w tym roku. Ostrzegano mnie, bym nie zaczynał rozmowy od spółdzielni, zanucał mi bowiem zaraz:

„ostawcie rzecz na stronie,
lepij dalej orać koniem”.

Myślicie, że posłuchałem? Nie. A jaka była odpowiedź? Kobieta westchnęła i społta dlonie. Mał machnął ręką i mruknął: „dwa razy już w życiu czapkowałem, po co mi trzeci raz?”

Oto i macie. Nawet łańcuch składa się z ogniw, a mur z cegieł, kiedy zaś łańcuch i mur tworzą ludzi to już całkiem złą przysługę wyświadczać niektórym korespondentom i biurokracjom — działaczom w dostojnym znaczeniu używającym tej przenośni. Mają cztery worki: na bezrolnych, maźrolnych, średniaków i kulaków. I pakują razem Murgabie, Durę, Fafale, ilu ich tam jest i wychodzi 48 średniaków, 72 maźrolnych. Ten rachunek zajął już na śmierć. A przed każdym nowym baranieniem. Bo kiedy mało i średniorolni są i w spółdzielni i na wsi, działacz do mnie: Kolego, wieś murem stoi przeciw spółdzielni. Nie, żeby zwalczać, ale nie chcą wejść. Murem!

Jestem tedy przy murze i co się okazuje. Cegły stanowią tu człowiek, konkretna i zindywidualizowana historia swego losu osobowości.

We froncie narodowym trzeba się działaczom nauczyć na wsi czytać w tych jednostkowych życiorysach. O tyle głębiej w klasowość, o tyle głębiej w poznanie starego i nowego w człowieku! Bywa jeszcze gorzej, kiedy działacz nie wysłuchuje chłopów, w których nabrzmiała

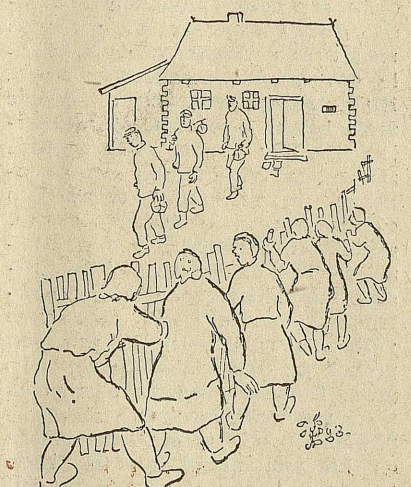
wewnętrzna potrzeba spowiedzi. Ludzie szamocą się ze swoimi dziejami, rady niekiedy dają sobie samemu nie mogą z własną przeszłością i teraźniejszością. Czują i widzą, jak się w nich kłóca dwie tradycje, dwa nurty. Walczyć, dlatego kole-dy, to znaczy także — przekonywać i pomagać!

Pod jabłonią na kolonii, z dala od społecznego i uspołecznionego centrum wsi, wypalił do mnie średniak: „dwa razy już czapkowałem, po co mi trzeci raz?”. Tak się nie mówi do obcego, tak mówiąc, nie stanowi się części żadnego muru. Chłop myślał, chłop wertował kartki tej jednej jedynej książki własnego żywota i schwylił sens przeszłości, schwylił jednostronnie i obronnie nie wobec tego, co ma dziś, ale wobec tego, co kielkuje i wyrasta na jutro. Od razu widać, że wnioski są błędne, ale też widać, że przesłanki są ciekawe i ważne.

Dlaczego w liceum, w POM-ie, spółdzielni, w GS-ie nie próbowano, do pioruna, przemysleć tych przesłanek? U tego mojego średniaka i wielu innych. Choćby metodą grup terytorialnych, owych kolonii, gdzie po sąsiedzku jeden na drugiego się ogląda.

Dlaczego, do pioruna, nie prowadzi się rozmów indywidualnych? Znać dekret o skargach, żalach i bolączkach. Wydał go rząd nie po to, aby dopiero otworzyć chłopom usta. Życie pokazało, że chłopie mówią i piszą masowo. Dekret miał wziąć za ucho tych, którzy byli głusi na tę mowę. Dekret rozszerzał problem — od dzieła (wypowiedzi, korespondencji) do twórcy, do człowieka. Zobaczcie go całego, postuchajcie największej jego skargi: jak ma z trzewi starego życia wydobyc się na świat nowy, co i jak odcinać, co pielęgnować i rozwijać.

Tylko nie mówcie, że to się przecież robi. Bo choć siedzi mój średniak na zebraniu w sprawie pomocy sąsiedzkiej: siewnej i żniwnej, choć siedzi na zebraniu przy rozdziale nawozów, towarów, kredytów i za każdym razem dla powzięcia decyzji czerpie jakoś ze swojego „dwa razy już w życiu czapkowałem”, aleście nigdy nie wystuchali do końca historii jego życia. Nigdy nie pomogli mu kolektynie do końca obrachunku z tą przeszłością.



nad którą zagórował dzięki rewolucji. Nigdyście nie wygrali głównego atutu — nowych czasów — aby jak krytyk — recenzent z tej pozycji wyjaśnić mu dzieło dawnego jego życia.

Co opowiedział mi ów średniak? Chłop żyłasty, z wiekiem chudniejący, gdy żona, przeciwnie, tje. On ma 46 lat, ona 43. Był synem wyrobnika. Ojciec mógł liczyć co najwyżej na 2 ha, ale ich nie do-stał za życia dziadka, sam umarł przed nim. Została matka i 4 chłopaków. Najstarszy właśnie — on. Mając 16 lat poszedł w świat wzdłuż torów kolejowych i na tych torach, posuwając się co roku dalej, przepracował 10 lat. Gdy wrócił do wsi, miał 26. Spłukał go z kolei kryzys. Pamiętne lata 1932 — 33. A do wsi przynęła nadzieja. Tu bowiem pod osłoną rodzinnych powiązań toczyła się „wielka” spekulacja kapitalistyczna między gołotą wiejską a paniem na gospodarce. Był to w tej grze o rentę, dzierżawę i odpracowane dziedzictwo moment kulminacyjny. Krótko mówiąc — stryj. On to od dziadka wycygnął ziemię, należącą się ojcu mojego narratora.

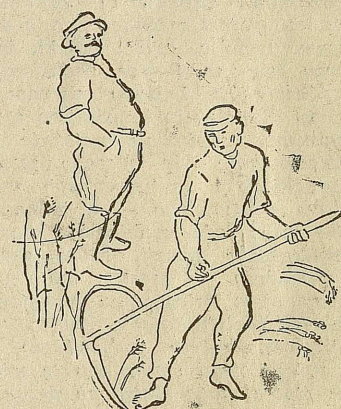
W NUMERZE:

W. BILICKI — Państwowe nagrody.
D. GAŁAJ — Rolnictwo w sześciolatec.
H. BEREZA — U kolebki USA.
H. ZAWORSKA — O książce Kowalskiej.
K. DĘBNICKI — Nakwaski po wojnie.
B. GORALIK — Bielice.

W. ŻOŁKIEWSKA — Uczniowie Sparta kusa.
J. MACIEJEWSKI — Na Mazurach.
S. SKULSKI — Branson.
ST. PIĘTAK — Ucieczka ze służby.
A. SZYMANEK — Mieszkania dla Śląska.
J. WINNICKI — Perspektywy amerykańskie.

Ale już było po ziemi, 30 lat minęło, przedawnienie, kamień w wodę. Kamień zresztą wpadał w wodę powolutku.

Oto, kiedy nasz bohater dziesięć lat balał przy kolei, stryj, nagabywany przez wdowę, kolejno przyjmował jej chłopaków na służbę. Służba, to był podwójny haczyk. Raz, że tylko za „życie”. Dwa, że stryj ludził wdowę i chłopaków zapisem. Był bowiem i pozostał bezdzietny. O naiwności ludzka, jak długo można cię zwodzić. Śmiała się wieś i szydziła, a wdowa uparcie pozwałała wśród synów prze-bierać jak w ulegalkach. Współza-



wodniczyli o względy stryja i stryj-enki, ludząc się, że wygrana zależy od dogodzenia staremu. A stary próbował i odrzucał. Do 1932 roku zdążył wykorzystać wszystkich chłopów.

Tak minął termin (30 lat), w granicach którego mogła jeszcze wdowa wyprosić po mężu schedę na 2 hektary. Grało tu i drugie skrzydło tego chłopskiego przedsiębiorstwa, handlarstwa i krzywo-przysięstwa — stryj-enka. Na stryj-enkę patrzyła łapczywie jej rodzina. Po tej stronie było dużo bab: siostry i siostrzenice.

Stryj-enka czyniła zaciąg na własną rękę, aluzje były takie same jak stryja, z większą tylko dyskrecją robione. I brały, brały, bo na dzień nadzarskiego żywota wiecie co się nawet oblicza? Nie tylko wiano (2 ha) stryj-enki ale również to, kto pierwszy wykultuje. Sądzone powszechnie, że stryj. Wygodę mieli oboje, groźne ciutali, dobrze jedli w polu i oborze pracowali za nich krewniacy — stryj-enka jednak mimo że kuternoga, była zdrowa jak rzepa, stryj zaś kwękał a popić lubił.

Ale właśnie dlatego, że gra szła na dwa fronty i lat już wiele upłynęło, nową namiętnością stryja stała się wojna z żoną: na serio zaczął myśleć o usadowieniu na gospodarce kogós ze swojej linii.

W tym to momencie zjawia się mój gospodarz, czwarty, najstarszy stryj-enka. Popili i spodobali się stryjowi oblatany w świecie chłopak. Ale ten nie był tak naiwny, jak bracia i matka. Zapisujcie zaraz — albo pies was trącał!

Ugadali w domu wszystko dokumentnie. Bo chłopak zamierzał się żenić. We dwójkę poradzą gospodarstwu, stryjom będzie jak w niebie. Ale stryj-enka byli na ziemi. Stało się więc tak, że u reagenta kamienia na kamień nie zostało z domowych przyrzeczeń.

Zapis wyglądał na kpiny. Własnością nowożeńców stać się miało gospodarstwo dopiero po śmierci obojga stryjów. I nie 6 ha ale 5. Jeden hektar stryj-enka urwała, zobaczy w przyszłości komu go darować. Dom, koń i krowy nadal własnością stryjów, maszyny, inwentarz, także. A najgorszy warunek krył się w wy-sokości kontyngentu: zbożowych i okopowych. Wyglądało na to, że harując na gospodarstwie mieć będą młodzi tyle, ile wypadało za-zwyczaj dla starych „na dożywocie”, kiedy go sobie prawem nie zawarowali tylko gębą. Znaczyło to razem — pójść w służbę.

Można się było cofnąć, ale „oblatanie w świecie” wzbogaciło chłopaka o trzeźwość. Wóz albo przewóz dyktowali w gruncie rzeczy starzy. Stryj dawał szansę swojemu. Gdyby chłopak jej nie chwycił, wdaryby się na gospodarstwo siostrzenice stryja i w walce między sobą do-stalby się którejś los, po jaki on teraz sięgał w obliczu reagenta. Pod-pisał umowę.

Co przewidywało? Może ze starymi da się życie ułożyć? Może starzy

wcześniej pomrą? Tak właśnie rozumował Golec — bez zagona będzie w służbie ale u stryja, przy zapisie, na wsi go chyba uszanują jak gospodarza, a gospodarzem kiedyś przecież zostanie. I wreszcie — żona, Dziad dziadówkę wziął.

Pod jabłonią opowiadali oboje gospodarze. Ona o sobie. A jeszcze było dwóch świadków, kobieta, jej rówieśnica z innej kolonii i młoda dziewczyna, krewniaczka z sąsiedniej wsi. Dziewczyna ścisnęła, uśmiechając się ironicznie. Łącząc obecny ich los z dawnym i zdawała się mówić oczami: aleście nie nie zmądrzeli. Starsza kobieta choć jeszcze pełniejsza średniaczka wyglądała na ordynaryjną robotnicę i na tercjarke. Była też w rzeczy samej uboższa w myślach i słowach w porównaniu z naszą gospodynią. Słuchała przyjaciółki z uwagą i czujnością, jaką okazują ludzie, którzy również pamiętają te same fakty. Gospodyni nasza była córką maźrolnych, 2 i pół hektara Siśa r sześć, ona najstarsza. Urwała naukę po trzech klasach, choć ksiądz obiecywał kształcić ją dalej bo zdolna była. Ale ojciec już nie żył, a matka potrzebowała pomocy w gospodarstwie i przy młodszych.

Drugi raz zaświtała nadzieja w „Wiciach”. Chcieli ją pchnąć do szkoły rolniczej i znów truska o dom zatrzymała dziewczynę. Dziś z siedmiu siostr ona jedna tylko żyje. Ale wówczas jeszcze było ich pięć i matka. Ani ona, ani narzeczony na ziemię z tej strony nie liczyli, choć właśnie te 2,5 ha w całej i najwcześniejszej miały uczynić ich gospodarzami na swoim.

Poszli więc w służbę do stryjów. W niewole, jakiej się nawet nie do-myślał. Garnuszek mleka dla dziecka trzeba było wyblagiwać u stryja. Gospodyni płakała w oborze, aby nikt nie widział smrototy, jakiej doznała. Była to służba gorsza od tej, jaką znają prawdziwi najmicy. Z takiej służby nie uciekniesz, bo przecież zapracowujesz sobie ziemię. Gdyby nie otworzyli, to ci ją zamykają laską „zapisu”. Dwanaście lat przecierpieli w tej służbie i niewoli.

Obejście było stare, chatą słomianą i niską, ale stryj nie myślał budować, żadnych też innych nie czynił inwestycji, ani w nawóz, ani w narzędzia i maszyny. Nawet kierał nie przybył, choć na wsi się rozpowszechnił. Nabrał sukcesora stryja. U reagenta w warunkach zapisu młody nie wyszczególnił funduszu inwestycji i ten brak legł im ciężarem nie do wytrzymania. Kontyngenty nadszarpowały nawet to, co przeznaczone było, a skąpo na wyżywienie. Bywało, że sukcesor gonil za robotą po wsi albo i dalej, byle zdzierzył w tej przeklestej „dzierzawie”. Stryj i stryj-enka rachowali się między sobą i ciutali, żarli i ciutali, ale ani w banku, ani w papierach. Zboże, kartofle, mleko zamieniali na złoto i do mysiej dziury! Dwanaście lat takich koszmarnych dziejów i nie wytrzymałby, gdyby w 39 r. po matce i siostrach nie przybyło wiano żonine. Na tym stał w latach okupacji, z tego wyrównywały kontyngent, jak drakońsko ścigała stryj-enka, bo stryj zmarł z początkiem wojny. Teraz dopiero pokazało się, do czego miał służyć ów zapasowy hektar, jaki stryj-enka przy zapisie wydzieliła. Ona również liczyła, że przeżyje męża i na ten okres chciała być umocniona w siodle przez swoich. Trzeba było mieć czym kupić krewnych, aby tańczyli wokół stryja i byli gotowi chodzić do władz i sądów, jeśliby stryj-enka próbował nie dotrzymać umowy.

Wyobraźcie sobie stryj-enkę po środ-ku, a po bokach — z jednej strony — umęczonych, przeklinających drogi, na którą weszli, naszych gospodarzy, z drugiej zaś — siostry i siostrzenice stryja zapiekłe w zawści, gotowe szkodzić na każdym kroku zwycięskiemu konkurentowi. Wi. Biedota skazująca do garda drugiej biedocie. Jedna, już skrzywdzona, druga czyhająca na skrzywdzenie. Obie nieszcześliwe, obie obłąkane tym co straciły i tym co zyskują, a ponad nimi przyczyna walki, wyzysku i nędzy — stryj-enka — posiadacz ziemi. Stryj-enka a przed tym stryj, głupi byłby, gdyby z tej ziemi wyciągnął tylko to, co może urodzić, a zrezygnował z siły pnywania i omaniania, jaką ona

(Dokończenie na str. 5)

WITOLD BILICKI

Państwowe Nagrody Literackie w roku 1951



Leopold Staff

Z okazji Święta Odrodzenia Polski w dniu 22 lipca corocznie przyznawane są nagrody państwowe w literaturze, będące wyrazem szczególnej troski Ludowego Państwa o rozwój sztuki narodowej. Mają one na celu nie tylko zaszczytne wyróżnienie przodujących twórców. Doniosłość tych nagród polega na ich znaczeniu mobilizującym i wychowawczym.

Naczelnym i bardzo odpowiedzialnym zadaniem, jakie literatura nasza ma współcześnie do spełnienia jest: wspomóc narodowi do wykonania Planu 6-letniego — to znaczy towarzyszyć mu w jego codziennych wysiłkach przy budowie podstaw socjalizmu.

Nagradzając osoby i dzieła, Państwo Ludowe jako mocodawca Narodu Polskiego, pragnie pokazać ogółowi twórców, jakie na danym etapie budowy socjalizmu kierunki i wzory twórczości należy szczególnie rozwijać, jakie dziedziny literatury ożywić, nad jaką stroną warsztatu pisarskiego szczególnie pracować, jakie ważne sprawy z dziedziny socjalistycznego budownictwa domagać się literackiego obrazu i opracowania.

Pierwszą rzucającą się w oczy charakterystyczną cechą tegorocznych nagród jest przyznanie tylko I nagrody za poezję i to dwu czołowym i uznanym poetom starszego i najstarszego pokolenia — LEOPOLDOWI STAFFOWI i JULIANOWI TUWIMOWI. Poza tym

nie zostały przyznane żadne inne nagrody w zakresie poezji. Takie ustawienie nagród w tej dziedzinie wynika z sytuacji, w jakiej znajduje się nasza poezja.

Mimo niewątpliwego postępu w sztuce poezji w zakresie ideologicznym, nasza współczesna poezja pozostała na ogół w tyle za prozą, która poszczycić się może znacznymi osiągnięciami na drodze do realizmu socjalistycznego.

Nie miejsce tu na omawianie wszystkich typowych niedostatków naszej poezji, wskażemy w skrócie na najistotniejsze.

Poważną słabością naszej poezji jest przesadna skłonność do stylizacji — to znaczy do zrezygnowania z własnego wyrazu poetyckiego i naśladowania gotowych wzorów. Niekiedy z naszych poetów stylizują np. pod wielkich poetów przeszłości, pod wielkich poetów demokracji świata kapitalistycznego, Neruda, Eluarda, Hikmeta — inni naśladowają zewnętrzną poetykę Majakowskiego i Broniewskiego — jeszcze inna kategoria stylizacji to pseudoludowość.

Drugą jeszcze poważniejszą słabością naszej poezji jest występowanie u wielu poetów deklaracyjność, ogólnikowość treści, niedolność dogłębnego przejęcia się uczuciowego tematem, trudność w przyswajaniu sobie konkretnych tematów z polskiej rzeczywistości.

Trzecią poważną słabością wielu utworów poetyckich to ich niechlujność, wyrażane braki warsztatu poetyckiego, niestaranność i lekkie wyrażenie formy.

Przyznanie nagrody I stopnia Leopoldowi Staffowi i Julianowi Tuwimowi jest z jednej strony wyrazem uznania, czci i opieki, jaką darzy się w Polsce zasłużonych współtwórców kultury narodowej, którzy długoletnim wysiłkiem artystycznym wpłynęli potężnie na kształtowanie się naszego języka poetyckiego i realistycznego warsztatu poetyckiego — a jednocześnie w obliczu problemów naszej współczesnej poezji, które wyżej wymieniliśmy — jest wyrażeniem wskazaniem młodszemu pokoleniu, wzorów realistycznej poezji.

Niejednokrotnie podkreślano, że w zasadniczym swym nurcie wiersze Staffa mogą służyć za przykład nowoczesnego, racjonalistycznego i realistycznego warsztatu twórczego, niejednokrotnie pisano o wielkim poczuciu słowa i odpowiedzialności za słowo w większości wierszy Tuwima.

W walce o celność i precyzję, prostotę i bezpośredniość wyrazu poetyckiego dla wielkich treści naszej epoki twórczość tegorocznych laureatów stanowi może „podręcznik poetyki, na którym studiować mogą adepci poetyckiego realizmu”.

Jak to dobitnie wyraził jeden z naszych poetów: „Leopold Staff, najwięksi z żyjących poetów polskich, jest dla nas dzisiaj widocznym znakiem związku między poezją współczesną i poezją lat ubiegłych”.

Dla rozwoju Staffa, którego pierwszy okres twórczości przypada na lata panowania młodego polskiego konwensu, dekadentki pogardy rzeczywistości, ucieczki od życia, od zagadnień społecznych, zatracenia komunikatywności i prostoty myśli i języka — charakterystyczne jest właśnie stopniowe wyzwalanie się z młodościowej manier, poszukiwanie własnego wyrazu, prostego a coraz doskonalszej formy, nasyconie swych utworów coraz to bardziej konkretną, ludzką i społeczną treścią.

Jest to wynikiem stałego pogłębiania się humanistycznej postawy autora i zbliżania do życia klas uboższych, nie w poszukiwaniu dreszczyku emocji, lecz ze szczerą przejęciem się dół tych klas, dla wyrażenia potężnego protestu i oskarżenia.

Wspomnijmy tu wiersze typu „Kryta spod płota”, „Jęk wyklętych zaułków” — cykl wierszy „Ścieżki polne” — przeciwstawiających się prawdą i konkretnością wyrazu obrazowania ówczesnym tendencjom ludomaskim, a wreszcie antywojenne wiersze z okresu I wojny światowej — i przepojone głęboką ludzką treścią wiersze ostatnie.

Staff — mistrz uwersyfikacji, która tak swankuje w naszych młodych twórcach, poeta silnej indywidualności twórczej — prostego pięknego języka, liryczny i dramatyczny i doskonały tłumacz arcydzieł literatury światowej — widomy symbol związku i ciągłości kultury, narodowej, to poeta, do którego należy wciąż sięgać, nie dla bezkrytycznego naśladowania, lecz dla wzbogacenia nowego, twórczego warsztatu poetyckiego o te cenne doświadczenia, jakie Staff nagromadził w ciągu swej długiej twórczości.

Julian Tuwim — drugi z nagrodzonych w roku bieżącym poetów — wierał na poezję polską w ciągu ostatnich trzydziestu lat równie wielki jak Staff a niewątpliwie konkretniejszy jeszcze wpływ.

W okresie sanacji nazwisko Tuwima łączyło się zawsze z pojęciem bezkompromisowej walki z faszyzacją życia, w imię obrony wolności i praw pracującego człowieka. Aczkolwiek wówczas nie z pozycji marksistowskich Tuwim, wnikliwy badacz „codzienności” Polski sanacyjnej, dawał ostry krytyczny obraz stosunków kapitalistycznych, demaskując zakłamanie, nicość i podłość ustroju i nędzę ówczesnego życia.

Lata wojny przyniosły m. in. „Modlitwę” i „Kwiaty Polskie”, których fragmenty z racji swej trafności politycznej, umiłowania ojczyzny i jej ludu, z racji piękności poetyckiego słowa przeszły do żywego skarbca narodowej literatury.

Po powrocie do kraju poeta włączył się w rytm socjalistycznego budownictwa, wzmacniając nową literaturę zarówno oryginalną twórczością jak i nowymi przekładami rosyjskimi i radzieckimi. Drukowany niedawno wiersz „Ez Oriente” — świetny, pełen najgłębszego liryzmu i prawdy pomnik przyjaźni polsko-radzieckiej — świadczy o dalszym rozwoju poety.

Na osobne omówienie zasługuje twórczość przeładowa Tuwima. W szeregu świetnych prac — od „Lutni Puszkina” do ostatnich przekładów Lermontowa i Gribiedowa — potrafił on oddać całe piękno i głębię klasycznej literatury rosyjskiej. I nie tylko klasycznej. Ogromną popularnością cieszą się tuwimowskie przekłady „Obłoku w spodniach”, „Dnieprostraju”, „Grenady”. Nie ma chyba w Polsce miłośnika poezji, który by nie podziwiał niezwykłej wszechstronności talentu poety, również świetnie tłumaczącego Swietłową jak Majakowskiego i Bezymienskiego. Państwo Ludowe zastrzeżenie nagrodziło poetę, dzięki któremu budujący socjalizm naród mógł poznać i pokochać literaturę swego wielkiego sojusznika.

W roku bieżącym nagrody otrzymało 7 pisarzy. Mimo swej różnorodności nagrodzone dzieła zamykają się bez reszty w wielkich zagadnieniach Planu 6-letniego i Frontu Narodowego.

Wyrazem stosunku Ludowego Państwa do postępowych tradycji naszej kultury, do których twórczość nasza winna nawiązywać, w których doświadczenia winna się wzbogacać i których znajomość winna w masach narodu upowszechnić, jest przyznanie nagrody II stopnia, Je-

remu Broszkiewiczowi za historyczną powieść o Chopinie pt. „Kształt miłości”. Powieść ta pokazuje jak kształtowała się i nasycała postępowymi i rewolucyjnymi pierwiastkami twórczość Chopina na plastycznie zarysowanym tle ówczesnych stosunków politycznych i społecznych.

Zaznaczmy również, że nagrodę zespołową I stopnia otrzymał Roman Brandstaeter za libretto do opery Szeligowskiego „Bunt żaków”, nawiązującą do postępowych tradycji naszego szkolnictwa.

Uznanie Polski budującej socjalizm dla pisarzy, stojących dotychczas na odrębnych pozycjach ideowych, którzy podjęli uciążliwą trudną próbę wejścia na tory realizmu socjalistycznego, znalazło wyraz w przyznaniu nagród państwowych Gustawowi Morcinkowi za powieść „Pokład Joanny” (nagroda II stopnia) i Annie Kowalskiej za powieść „Wielka próba” (nagroda III stopnia). Lud Śląski, a wraz z nim cały naród powita ze szczególnym zadołowieniem ten sukces Morcinka, pisarza ludu śląskiego, który potrafił w tym wielkim okresie historycznym, jaki przeżywamy, wybrać jedną szluską drogę klasy robotniczej Śląska, budującej socjalizm.

Jednym z najważniejszych brachów naszej literatury było do niedawna zaniedbanie sprawy literatury młodzieżowej. A przecież młodzież robotnicza i chłopstwa to nasz największy skarb i nadzieja — to nasze kadry, które — „zadecydują o wszystkim”.

Na ten niepokojący stan zwracając uwagę Partia i ZMP. Na odbytym w ubiegłym roku Plenum ZLP przedstawicielka Wydziału Harcerskiego ZG ZMP Wiktoria Dewit zwróciła się do pisarzy o pomoc w pracy wychowawczej, o dobre książki dla dzieci i młodzieży.

W roku bieżącym sprawie tej ZLP poświęcił specjalne narady. Przyznanie nagród autorom pierwszych nowych, dobrych książek dla młodzieży — Halinie Rudnickiej (nagroda II stopnia za powieść pt. „Uczniowie Spartakusa”) i Janinie Broniewskiej (nagroda III stopnia za powieść pt. „Ogniwko”) jest świadectwem uwagi, jaką Rząd Ludowy przykłada do tego rodzaju twórczości, jest wyrazem wielkiego i niecierpiącego zwłoki zamówienia społecznego na powieść dla młodzieży.

W niemieńskim stopniu zastępują na uwagę (w ramach przyznanych nagród) także pozycje jak: po-



Julian Tuwim

wieść Aleksandra Scibora-Rylskiego pt. „Węgiel” i powieść Lesława Bartelskiego p. t. „Ludzie z rzeki” — obie odznaczone nagrodami III stopnia.

Pozycje te poruszają, aczkolwiek w niezbyt jeszcze doskonałej formie kluczowe zagadnienia naszej walki o socjalizm w przemyśle (A. Scibor-Rylski) i na wsi (L. Bartelski) i są wyrazem dążeń do zdobycia naszego powieściopisarstwa na drodze do realizmu socjalistycznego.

Należy tutaj wymienić także nagrodzoną zespołową nagrodą II stopnia sztukę Janusza Warmińskiego pt. „Zwycięstwo” wprowadzającą nowatorsko na naszą scenę — zagadnienie walki klasowej — w sztukę Adama Tarna pt. „Zwykła sprawa” (również nagroda zespołowa II stopnia) — wzbogacającą nasz teatr o zagadnienie walki z imperializmem amerykańskim.

W dziale krytyki nagrodę otrzymał Ryszard Matuszewski za książkę „Literatura na przełomie”.

Prace krytyczne Matuszewskiego podejmują trudne zadanie niesienia teoretycznej pomocy dla naszej literatury w jej walce o realizm socjalistyczny i w znacznej części stanowią pionierską próbę oceny skomplikowanych zagadnień współczesnego pisarstwa.

Dyskusja nad nagrodzonymi pozycjami i ich bliższa analiza przyniesie niewątpliwie cenne wskazówki zarówno ideologiczne jak warsztatowe dla naszych pisarzy i stanie się poważnym bodźcem do dalszej ich twórczości.

Witold Bilicki



Anna Kowalska

Wraz z epoką wielkich przemian i budownictwa socjalistycznego odeszliśmy daleko od ideału literatury, opisującej skrajnie, bezstronnie i bezpretensjonalnie wydarzenia poprzedniego dnia, jako ciąg spraw zwykłych i całkowicie wytłumaczalnych przez schemat: środowiska — charakter — warunki. Przeszła nas interesować światek widziany oczyma bohatera patrzącego poza swoje podwórko i nie roszącego sobie pretensji do analizy rzeczywistości, w której mu żyć sędzono. Prześń od owego notowania wydarzeń i spraw spoza których nie wiele widać — do szerokiego uogólnienia, do wyboru tego, co typowe, do ukazania dialektyki rozwoju rzeczywistości, o to droga którą musiał pójść pisarz owych „książek wczorajszych” — by dojść — względnie zbliżyć się — do twórczej metody realizmu socjalistycznego. Drogę tę wybrała Anna Kowalska, autorka kilku (przeważnie wraz z mężem, Jerzym Kowalskim) przed wojną wydanych powieści, napisanej przed dwoma laty „Uliczki Kłasztornej” i wreszcie — wydanej niedawno powieści „Wielka próba”.

„Uliczka Kłasztorna” nie przyniosła jeszcze zwrotu, jaki zdecydowałyby o odeszciu Kowalskiej od dawnej techniki pisarskiej. Książka mogąc — ze względu na tematykę — stać się dokumentem historycznych przemian, jakimi było osiedlenie i dźwignię z gruzów polskiego Wrocławia, stała się kroniką sąsiedzkich zatańców, sentymentów i nienawiści obywateli ulicy Kłasztornej. Powieść pozbawiona kości ideowego i problemowego, rozpada się na szereg problemików i sensa-

*) Anna Kowalska — „Wielka próba”, W-wa 1951 r. PIW str. 160.

HELENA ZAWORSKA

U D A N A P R Ó B A

cyjek, by jako element wiążący całość, uratować sprawę przetrwania się początkowej niechęci nowoosiedlonych ludzi w życzliwości sąsiedzkiej, a niekiedy — w przyjaźni. Mieszkańcy uliczki Kłasztornej mogliby przeżyć swoje konflikty 20 lat wcześniej, tak dalece kontekst historyczny nie decyduje o typie problemów. Książka nie przyniosła prawdziwej i rzetelnej wiedzy o świecie, autorka poprzestała na doborze konfliktów nietypowych i mało ważnych.

O ile pierwsza powojenna powieść Kowalskiej należy do książek dawnego typu, o tyle druga oznacza zamknięcie owego cyklu w twórczości autorki. „Wielka próba” jest książką ambitną i nowatorską. Pozbawiona ograniczeń matego realizmu, nie lękająca czytelnika problemami, które zawieszono w próżni społecznej i historycznej stają się problemami pozornymi i ukazuje ważny i przy całej oryginalności tematyki — typowy wycinek rzeczywistości. Wybór problematyki odnawia wyraźnie nową pozycję Kowalskiej od jej „Uliczki Kłasztornej” i decyduje o zasadniczym zwrocie ideowo-artystycznym autorki. To już nie wąski krag smale i doświadczeń mieszkańców małej uliczki, „Wielka próba” — to obraz przemian socjalistycznych, ukazanych na jednym z najtrudniejszych odcinków, jakim jest proces przebudowy człowieka. Problem ten postawiony jest i rozwiązany na dwóch płaszczyznach: pierwszej i zasadniczej — to sprawa pracy i osiągnięcia zakładu szkolenia inwalidów, przygotowującego i włączającego do procesu produkcji ludzi, zdawałoby się już na zawsze bezużytecznych; druga — to sprawa przechodzenia niezdeterminowanego i pełnego oporów inteligenta na pozycję świadomej walki ideologicznej i pracy społecznej. Jednak podjęcie tematyki istotnej, typowej i związanej z budownictwem socjalistycznym — to dopiero krok pierwszy. Pozostaje jeszcze zagadnienie, jak problematyka owa została ujęta w ramy obrazu artystycznego, czy dawna metoda pisarska nie zaciążyła nad powieścią w sposób obniżający jej wartość i pomniejszający wagę wyboru konfliktów. Na ogół na pytanie to należy odpowiedzieć pozytywnie. Kowalska w „Wielkiej próbie” odesła zdecydowanie od tradycji tak żywych jeszcze w „Uliczce kłasztornej” — waga postawionego problemu nie rozpyliła się w szeregu spraw małych, nie zabrakło właści-

wych perspektyw i szerokiego uogólnienia.

Sprawa przebudowy człowieka w ustroju socjalistycznym w powieści Kowalskiej ukazana została na odcinku trudnym i w literaturze dotychczas nieznanym. Zdawałoby się, iż sprawa zakładu szkolenia inwalidów nie może dostarczyć tematyki pasjonującej w sensie ukazania wielkich przemian, charakterystycznych rozwój naszej rzeczywistości. Inwalidzi, a więc ludzie w większym lub mniejszym stopniu wykluczeni z procesu produkcji fatalnością swego kalectwa, stojący poza możliwością uczestniczenia w dziele odbudowy i przebudowy kraju. Kula lub proteza, renta, ciężkie życie kaleki — oto dla laika problem inwalidów. Trudno sobie wyobrazić, że i na tym odcinku mogła dokonać się rewolucja, oznaczająca całkowitą rewizję stosunku do inwalidów, rezygnując z fikcji pomocy, jaką darczyli inwalidów państwo kapitalistyczne, ukazującą natomiast perspektywę ponownego włączenia tych ludzi do procesów produkcji. Originalność wybranego przez Kowalską tematu potwierdza tylko typowość, rozmach i znaczenie przemian, jakie obserwować można na każdym, nawet na tak mało znanym odcinku. Niezwykłość opisywanego terenu i spraw posiadających swą odrębną specyfikę nie ograniczyła szerszego spojrzenia autorki, której grozić mogło zwężenie tematyki lub pójście na łatwinę wydobycia efektów „lokalnych”, problemów związanych jedynie z typem życia inwalidziego. Kowalska uchroniła się od tych błędów, co — zwłaszcza ze względu na dotychczasową jej twórczość — szczególnie zasługuje na podkreślenie. Zakład w Wojtowicach nie jest pretekstem do wydobycia ciekawostek — ilustruje on również dobrze, jak każdy inny odcinek — charakter i tempo budownictwa socjalistycznego. Bohaterowie „Wielkiej próby” — to ludzie najbardziej poszkodowani przez kapitalistyczne stosunki i imperialistyczną wojnę. Życie ich jest traktowane jako fakt istniejący sam dla siebie i przy opisywaniu nie wymagający komentarzy. Anna Kowalska ukazała człowieka, którego los determinowany jest przez układ społeczny, którego życie jest określone grą sił, dających się ściśle określić. Los Mazura, Szarego, Ragona uwarunkowała bezwzględność kapitalizmu, który najpierw odmawiał im prawa do pracy i nauki, a po-

tem odebrał zdrowie i możliwość normalnego życia. Ani minione życie tych ludzi, ani ich kalectwo nie jest w książce Kowalskiej sprawą przypadku. Nici, wiążące los człowieka z szerokim tłem wypadków ukazane są w sposób wyraźny. Bezgrani inwalida Królkowski, który kikutem pisze wspomnienia by „dać przykład tego, jak to bywało” reprezentuje najwyższy stopień uświadomienia klasowego, zrozumienia przyczyn, które w taki, a nie inny sposób układały jego życie robotniczo-nędzarza. Uświadomienie to jest pierwszym etapem przebudowy psychiki ludzi, zgromadzonych w wojtowickim zakładzie. Etap drugi — to danie im możliwości rozpoczęcia nowego życia, przekonanie o wartości ich pracy. „Bardzo się przywiązałem do swojej pracy. Uleczyła mnie. Dlatego wierzę, że tylko praca może wyleczyć inwalidów. Człowiek może człowieka uratować od śmierci, ale zdrowie może wrócić tylko świadomości, że się jest potrzebny” — mówi dyrektor Kalina. I jego słowa znajdują potwierdzenie. Życie i psychika ludzi, będących w zakładzie zmienia praca i to nie tylko sama możliwość jej wykonywania, ale i nowy stosunek do niej, twórcze ambicje racjonalizatorskie, zobowiązania terminowe. Praca zakładu bowiem łączy się bezpośrednio z planem produkcyjnym, obejmującym cały kraj. Wielką próbą w książce Kowalskiej jest przedterminowe przygotowanie do pracy w przemyśle 50 wychowanków kursu. Próba ma tym większe znaczenie, iż przygotowanie to nie obejmuje tylko sumy wiadomości technicznych, lecz ważniejsze od nich przygotowanie psychiczne ludzi, których zniechęcenie do życia i obojętność w stosunku do rozwijającej się rzeczywistości nie zawsze łatwo było przezwyciężyć. Walka o produkcję zbiega się tu więc z walką o człowieka. Fakt ten Kowalska dojrzała i uwzględniła, ustrzegając się jednostronności w obserwacji i przesunięcia proporcji w kierunku spraw, bądź czyistości produkcyjnych, bądź też konfliktów wyłącznie psychicznych. Docenienie znaczenia pracy w procesie przebudowy człowieka jest obok ściślego powiązania losów ludzi z układem społecznym — drugą ważną wartością „Wielkiej próby”.

Tematyka podjęta przez Kowalską posiada oczywistą wagę nie tylko ze względu na decydujący o temple naszego budownictwa problem przygotowania nowych kad-

pasjonującą sprawę przebudowy psychiki człowieka. Problemem dla „Wielkiej próby” może być również, jest walka wypowiadająca wojnę Niewiele jest książek o powojennym budownictwie, w których sprawa minionej wojny i sprawy walki o pokój byłaby tak nieprzerwanie związane z tematyką, jak to jest w „Wielkiej próbie”. Bohaterami książki Kowalskiej są ludzie, których wojna dotknęła najstraszliwiej. „Wszyscy widzą zburzone miasta, ale przetrzaskali się, jakby poznali, co wojna porybała z ludźmi. Przecież to setki tysięcy tego. Jak słyszę, że komuś marzy się nowa wojna, to zawsze myślę, że gdyby go tak na estradzie posadzić, a przed nim żeby maszerowały inwalidzi, niechby się im dobrze przypatrzył. Albo złapać takiego faceta i dać na ochroniarza do kadłubków, wie pani, tych, którym tylko korpus został” — dowodzi namietnie Raubiszko i słowa te ilustrują całą atmosferę książki, w której wojna jest bezpośrednim wrogiem tych ludzi, sprawą najbardziej nienawistną. Zbyteczne tu są jakiegokolwiek deklaratywne stwierdzenia, wymowa obrazów takich, jak pisanie piórem zatkniętym za pasek kikutu, jak nieporadność bez ręki i cierpienia bezognich — wystarcza za wszelkie argumenty. Dla bohaterów „Wielkiej próby” powrót do życia i pracy jest najpiękniejszym zwycięstwem pokoju, o którym zaczynają walczyć wraz z przystąpieniem do produkcji. Autorka sprawę wojny i pokoju, tak ściśle związaną z tematyką jej powieści podkreśla w sposób prosty i bardzo wymowny. Włącza ją po prostu do najważniejszych i jak najbardziej osobistych spraw każdego człowieka.

Problem pracy i osiągnięć ludzi w zakładzie wojtowickim jest problemem centralnym, ale nie jedynym. Obok niego istnieje sprawa ideowej drogi inteligenta, zbliżającego się ku coraz pełniejszemu zrozumieniu istoty zachodzących przemian. Fakt owego coraz bardziej świadomego aktywizowania się, nie pozbawione jeszcze oporów inteligenta ukazała autorka na samej sobie. W sposób bezpretensjonalny, częściowo pamiętnikarski, przez bezpośrednią narrację odautorską opisuje Kowalska dyskretnie i drugoplanowo, lecz wyraźnie swoją własną przemianę. Od początkowego, niezbyt szczerzego zresztą zainteresowania się zakładem inwalidzkim, aż do stwierdzenia iż nigdy tego zakładu nie za-

pomni, gdyż „dał on jej poznać ludzi dzielniejszych od siebie” — dzieliła autorkę dość duża droga niepewności i oporów inteligentki, która za cenę bezpośredniego kontaktu z nowymi ludźmi boi się zostać „proletariuszem kulturalnym”. Wątpliwości typu: „Co było kulturą? Czy wiara w sens wysiłku młodego górnika, czy elegancji sceptycyzmu poety, dla którego rewolucja była owszem, pożywką literacką?” — rozstrzyga zaangażowanie się autorki w pracę z ludźmi, których wysiłek stanowi o sensie kultury, walki, życia. Doświadczenia, jakie wyniosła autorka z wojtowickiego zakładu zniwelowały niepewność, problem został rozstrzygnięty: tylko bezpośredni udział w budowie nowego życia jest właściwą drogą inteligenta, tylko kontakt z ludźmi, którzy te nową rzeczywistość tworzą — jest możliwością tworząca pisarza.

Dwupłaszczyznowość ukazania problematyki określiła konstrukcję książki Kowalskiej, rozbijając ją na część pamiętnikarską (partie, gdzie autorka opowiada o własnych przeżyciach) i część zbliżoną do formy reportażowej (tam, gdzie opisuje ludzi i wydarzenia w zakładzie). Konstrukcja ta, wynikająca z włączenia do powieści przemiany osobistej autorki, ma pewne zalety, jak bezpośredniość i naturalność opisu, wpływa jednak i na wady książki. Powieść Kowalskiej posiada bowiem pewne dłużyzny i pewne uproszczenia. W części pamiętnikarskiej autorka zbyt daje się powodować wspomnieniem i uwagami, które rozbijają tematykę nie nowego do książki nie wnoszą (np. nie pozbawiony dłużyzny opis powrotu z wysiedlenia), natomiast reportażowa nieomal forma, w jakiej autorka przekazuje nam wiadomości o zakładzie sprawie, iż postacie dla książki centralne (Raubiszko, Ragon, Królkowski, Wysocki) ukazane są dość powierzchownie i fragmentarycznie, bez dostatecznego pogłębienia psychologicznego. Po odczuciu „Wielkiej próby” ma się wrażenie iż autorka dobrze ustawiła postacie, dostrzegła konflikty i zarysowała problematykę, lecz na owych 160-ciu stronach nie zdążyła powiedzieć o postaciach i wydarzeniach wszystkiego, co dla pełnego ich przedstawienia byłoby potrzebne.

Waga problematyki, dostrzeżenie istotnych cech rozwoju naszej rzeczywistości, ukazanie fragmentu socjalistycznego budownictwa — to trwałe wartości, jakie przynosi książka Anny Kowalskiej. Próba podjęcia nowej tematyki okazała się udaną i należy do niewątpliwych osiągnięć pisarskich autorki.

Helena Zaworska

WANDA ŻÓŁKIEWSKA

UCZNIOWIE SPARTAKUSA *)

Wśród licznych potrzeb naszego rynku książkowego, potrzeb niezaspokojonych a utrudniających u naukowca i czytelnika — barożo istotną iucę stanowi brak powieści niszowej, insytywce wyawiedzialną pracę, by dokladnie przejrzeć te pozycje literatury awnej, ktore by mozna wznowic z pozukiem dla dzisiejszego czytelnika. To, co dotad w tym zakresie zoolano zrobic, kosztowalo wiele wysilkow i wnioslo na rynek trocne ksiazek historycznych. Pojawil sie Jozef Kraszewski. Systematycznie wychodzi Teodor Tomaszewski. Mamyluka pozycji Walerego Lozinskiego i innych. Wszystkie te wysilki nie zmieniaj sytuacji w sposob decydujacy, braki mamy nadal.

Gorzej jeszcze o wiele przedstawia sie sprawa historycznej powieści dla miodziezy. Wznowienia dawnych pozycji sa prawie niemozliwe. Wszysko bowiem, niema, co stworzyla w tym zakresie polska literatura, trzeba by dzis opatrywac takalioscia komentarzy, jakiej by nie strawil czytelnik dorosly, a przez ktore w zaden sposob nie przeurnie czytelnik miodociany, wynagajacy wielkiej scistosci i jasnosci tresci historycznych. Historyczne powiesci dla miodziezy pisane przewaznie z pozycji imperialistycznych, w oparciu o idealistyczne metody badadawczych i daja falszwy obraz epok, wydarzen i postaci. Wsrod nich trafiaja sie nieswiadome i swiadome falszestwa. W tych ostatnich celowala Helena Zakrzewska, przyoblekajaca akty jawnego mordau, wskiekiej nienawisci imperialistycznej w swietliste szaty sentymentow narodowych.

Miniona epoka, negujaca dziecko robotnicze i chlopskie jako obiekt tworczości artystycznej, hodujaca natomiast pieciotkowicie pod izoluacym od zycia kloszem dziecko burzazynne — nie mogla dac obrazow prawdziwej historii i prawdziwego bonatera, prawdziwej walki. Musialaby powiem nieoczekiwane siegnac do rewolucyjnego runow robotniczych i chlopskich, a tym samym okazyz ich przyczyny. A to bylo niebezpieczne i niewielu pisarzy miało odwage patrzec prawdziwie w twarz. Najpionierszy pisarz historyczny, wawery Przyborski, z wielkim entuzjazmem siegal do wyawezien, w ktorych Polska poszczycila sie mogia nieslawnym udziałem w karierze slawnych tworcow imperializmu. Pobrzekniawanie szlachekaszaelka, „tajnosci“ polskiego rycestwa, pawl ogon rzekomej swietnosci wojska — wszystko nie sluzace niczym lub sluzace „aktom ewaluty i niesprawiedliwosci — wszysko to, nie nadajace sie juz dzis do rozpatrywania.

A przeciez literatura historyczna jest dzis bardziej potrzebna niz kiedy indziej. Miodziez domaga sie jej. Pragnie bowiem przyswoic sobie tresce i idee dawnego zycia, pragnie sobie wytworzyc wizje minionych wydarzen, pragnie odtworzyc historyczny ciag walk o niepodleglosc i sprawiedliwosc spoleczna. Rzesze dzieci robotniczych i chlopskich, to masowy odbiorca literatury w ogole, ale odbiorca, ktorego pisarz musi nauczyc czytac dzis i na cale zycie. Dzisiejszy miodzy czytelnik musi korzystać z ksiazki jak z wiedzy o swiecie, zawartej w znakomitej, bo wyrazistej i pieknej wizji literackiej. Literatura musi mu pomagac w rozumieniu procesow wspolczesnego zycia przez kojarzenie ich w konsekwentna i logiczna calosc z procesami epok dawnych. Dlatego tez nie ma chyba w tej chwili wazniejszego zadania dla pisarzy, jak tworzenie nowej historii wydarzen rewolucyjnych i nowej historii tworcow socjalizmu. Zadanie to trudne i odpowiedzialne.

Podjela je pierwsza w powojennej Polsce Halina Rudnicka w swojej wydanej niedawno przez Nasza Ksiegarnie ksiazce pt. „Uczniowie Spartakusa“.

Autorka odwaznie siegnela do trudnej tematyki i jeszcze trudniejszej problematyki rozwarstwien klasowych w starozytnym swiecie, do wzajemnego stosunku klas, do haniebnego ucisku i buntowniczej walki.

Jako teren tej walki wybiera szkole gladiatorow, budzaca sie do uwiadomienia pod kierunkiem

Spartakusa. Do szkoly tej trafia po drugim, pelnym grozy perypetiach, Kanasa, czternastoletni chlopiec grecki, porwany ze swego rodzinnego domu i wraz z matka zaprzeczana w niewole rzymska przez korsarza i legalnego obywatela rzymskiego w jednej osobie, Milona vel Wibusza.

Na losach swego bohatera glownego, Kanasa, typowcy zreszta dla rzymskiego niewolnictwa, autorka pokazuje straszna wladze pana nad zyciem swego niewolnika, straszne bezprawie, stracajace w jednej chwili czlowieka na uno nedy i nandy, chocby tak, jak Kalias byl synem wolnego obywatela ateńskiego. Kazdemu moznowawcy rzymskiemu mogla przysc chetka lawowego wzbogacenia sie, dlatego tez zapuszczanie sie na dalekie terytoria, tropienie ludzi, chwytanie ich i wystawianie na sprzedaz jak bydlo, moglo sie zawsze tracic. Trafilo sie wiec i Kaliasowi, i jego matce.

Jedynie swojej inteligencji i woli zycia Kalias zawdziaczal to, ze mu sie udalo zniec i ze wiedziony zdrowym instynktem spolecznym dostal sie do szkoly gladiatorow pod opieke Spartakusa. Tu wraz z adeptami tej szkoly przezywa wyzwolenie, a potem idzie z nimi szlakiem ich zwyciestw i klask. Bunt gladiatorow staje sie najwazniejszym niem jego zycia, wpływ Spartakusa, jego idea walki o wyzwolenie czlowieka z prawia Kanasa na cale zycie wojadzialania przeciw uciskowi i wojadostatecznego zwyciestwa. Mały Kalias dorzewa do roli zolnierza rewolucji, i choc Spartakus przegrzawa, kiedyś Kalias i inni miodzi wynowami przez Spartakusa rozpoczyna sprawe na nowo. Taką nadzieja pozostawia ostatnia pieśń Sotonia, starego rewolucjonisty z Sycylii, zamykajaca powiesc.

Ksiazka Rudnickiej ma duze wartosci poznawcze i pedagogiczne. Autorka „Uczniow Spartakusa“ z marksistowskich pozycji patrzy na starozytny swiat, odkrywajac przed czytelnikiem spory szmat zupełnie dotad nieznanego zycia, ustawiajac wydarzenia i problematyke opisywanych czasow w ich wlasnych proporcjach. Od niej dopiero miodzy czytelnik, dowie sie, ze niewolnik i niedzaz rzymski to nie bezwolne, wyrzute z mysli bydle, umierajace w pokorze na arenach cyrkowych, pod batagami czy na wojnie, ale czlowiek zdolny do walki z ciemnosciami. Drobny pocztakowo oddzial Spartakusa powieksza sie w krótkim czasie o wielkie rzesze, z ktorych powstaje wielotysieczna armia. I ta armia daje sobie rade z przewazajacymi niejednokrotnie silami wroga, dlatego przede wszystkim, ze kieruje nia idea wolnosci i sprawiedliwosci, rozniecona przez Spartakusa. A ze Spartakus ma racje, wiedza o tym wszyscy jego zolnierze, wyrosli w warunkach przemocy, upodlenia, bezprawia.

Ksiazka Rudnickiej wzbogaci wiedze dziecka o swiecie. Pokaze mu starozytnosc nie od strony posiadacza, a od strony ludzi wyjetych spod prawa, stanowiących olbrzymia wiekszosc, utrzymujacych Rzym swia ciezka pracą. Pokaze pierwsze etapy walk o wolnosć czlowieka i rowne dla prawa, pokaze wodza tych walk, Spartakusa, przemilczanego celowo przez historykow i przez programy szkolne przedwzniezionej Polski.

Ksiazka Rudnickiej zbuduje pomost do nowych tradycji historycznych, a jednocześnie pomoze je dziecku zrozumiec i przezyt dzieki matematu Kaliasowi, ktorego dzieje opisane w ksiazce sa scisle zwiazane ze Spartakusem i jego rewolucyjna dzialalnoscia. Losy Kaliasa, jego odczucia, jego stosunek do Spartakusa, a wreszcie rozwój umysłowy i psychiczny uwarunkowany calkowicie sytuacjami zyciowymi, w ktorych maly bohater sie znajduje — w znacznej mierze przybliza do czytelnika wizje dawnego zycia, bardzo odleglych, a jednocześnie bardzo zywotnych spraw.

„Uczniowie Spartakusa“ budzic beda w czytelniku najlepsze jego uczucia, wychowywac w nim i pielegnowac poczucie sprawiedliwosci, uznanie dla bohaterstwa, rozum, odpowiedzialnosc za czyny. Postac Spartakusa pozostanie w jego pamieci jako wzor bohaterstwa godny naśladowania. Sotion zaś przekaze mu wartosci wytrwalego wysilku, który nie cofa sie przed przeciwnosciami.

Nowa ksiazka Rudnickiej uczac i wycnowujac spelnia bardzo wazne zadanie wobec miodziezy, siegajacej dzis niejednokrotnie do zlej lekury w poszukiwaniu przygody, sensacji, egzotyki. „Uczniowie Spartakusa“ reprezentuja te trzy wazne elementy. W pewnej mierze jednak tylko. Tok opowiadania Rudnickiej wygrany jest bowiem za bardzo na jednej nucie, troche beznamienny. Wiele watkow domagajacych sie przez swoj charakter uamatycznosci, ustawienia przed czytelnikiem w akcji i napieciu uczuciowym, autorka zbrywa kilkoma zdaniem relacji od siebie. Tak np. rozprawa Spartakusa z bykiem andauzyjskim na igrzyskach i wydarcie ze szponow nieuchronnej smierci jego ukochanego ucznia, Enomaosa — wymaga sceny, nie wzmiarki w rozmyslaniach jednego z bohaterow. Decyduje o tym nie tylko charakter tego wydarzenia, ale i potrzeba nalezytego naswietlenia cech charakteru Spartakusa. Wizerunek tego znakomitego wodza i czlowieka zyskalby na wyrazie, gdyby autorka mniej o nim opowiadala, bardziej go zas uaktywnila w scenach dramatycznych przemawiajacych sią napieciu uczuciowych. Case partie losow Kaliasa wymagaja rowniez scen i obrazow.

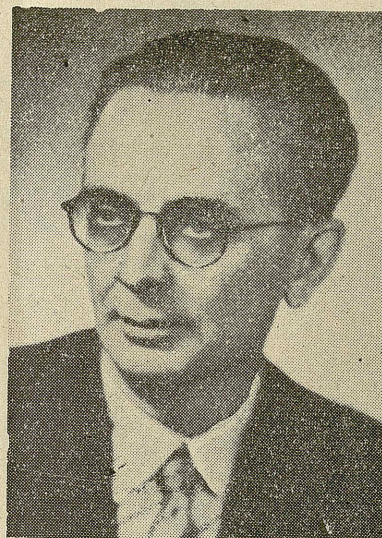
Zainteresowanie czytelnika rozbudzone w pierwszej czesci ksiazki, opada z chwila, gdy Kanasa dostaje sie do Spartakusa, jeszcze nizj spada od momentu niepowodzen Spartakusa. Znalezenie matki Kanasa nie juz wlasnie nie daje, dalsze jej dzieje staja sie malo interesujace, zbędne. Zbedna rowniez wydaje sie postac Sary, wprowadzona zapewne ze wzgledow ideologicznych, co ujdzie cnyba uwagi czytelnika, poniewaz rola Sary w akcji i losach bohaterow glownych jest niedostatecznie usprawiedliwiona.

Zakończenie tej ksiazki takze nie jest mocnym akordem. W atmosferze klaski, motywem optymistycznym ma byc pieśń Sotonia, glaszaca odrodzenie sie idei Spartakusa i zwyciestwo tych idei, wobec jednak bezruchu i tez Kaliasa motyw ten wypadla nieprzekonywajaco. Dla niewyrobionego czytelnika slowa pieśni sa tylko slowami pieśni, nie kazdy zada sobie trud odcyfrowania alegorii. Dla miodziezy wiele wymowniejsza bedzie postawa Kaliasa, niz zawartosc ideologiczna pieśni Sotonia. A przeciez element optymistyczny powinien byc dominujacym akcentem zakonczenia.

Najistotniejszym motywem budujacym wizje starozytnego swiata w przezyciu czytelnika jest w „Uczniow Spartakusa“ poezja. Autorka zgromadzila tu bogaty wybor slowych wierszy, ktorymi posluguje sie w momentach wymagajacych komentarza obyczajowego lub ideologicznego. To dobry, jakkolwiek nie najpewniejszy chwyt w stosunku do miodocianego czytelnika, który ma zwyczaj opuszczac partie ksiazki niedostatecznie zwiazane z akcja, nie postuwajace tej akcji naprzód. Z tym faktem oczywiscie liczyz sie nie mozna, ale pamietac o nim trzeba. Dlatego tez niezbędne jest jak najbardziej pieciolowite rozlozenie roznych akcentow, wzbogacajacych wizje opisywanych wydarzen i ich atmosfery. W ksiazce zas Rudnickiej wiemy, co sie dzieje i w imie czego tak sie dzieje, wyobrazic sobie wszakze miejsce akcji nie potrafimy. Akcja toczy sie w pustce jakby, niewypelnionej krajobrazem ani bliskim ani dalszym. Miasta, przez które dazy Spartakus ze swoim wojskiem, przestrzenie przebyte przez Kaliasa w jego wędrowkach samotnych i z towarzyszami broni, pozostaja nam zupełnie obce, nieodkryte przed naszymi oczami. Nie widzimy takze ludzi, tłumy obywateli rzymskich. Pojawiaja sie oni na moment w koncowce czesci ksiazki, mimo to wrazenie bezludzia pozostaje. W ten sposob sprawa Spartakusa, jakkolwiek poparta buntiem gladiatorow, rozplywa sie w niewytumaczony i jakby niezamierzonej przez autorkę samotnosci.

Krytyka ksiazki Rudnickiej bynajmniej nie odbiera jej wartosci. „Uczniowie Spartakusa“ stawiaja Rudnicka w rzędzie najlepszych pisarzy miodziezowych. Droga zas autorki „Polnej sciezki“ do jej ostatniej ksiazki zasluguje na najwyzsze uznanie. Kazdy czytelnik „Uczniow Spartakusa“ zrozumie, ile owocnej pracy tkwi w tym dziele, jak pionierska byla ta praca. O jej wpływie ksztalcacym i wychowawczym dowiemy sie z czasem od dzieci.

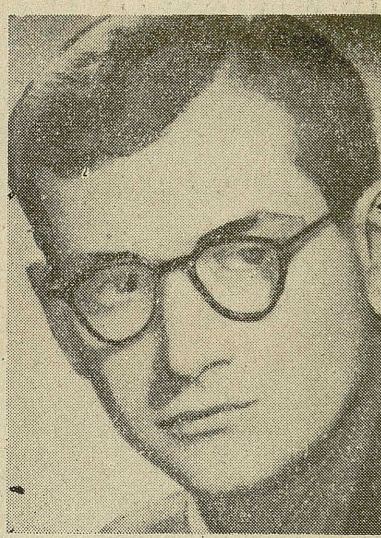
Wanda Żółkiewska



Gustaw Morcinek



Jerzy Broszkiewicz



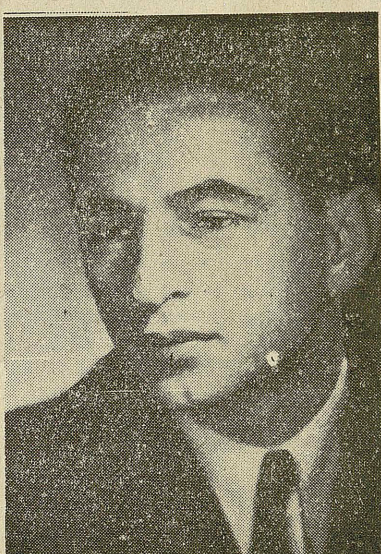
Ryszard Matuszewski



Janina Broniewska



Aleksander Scibor-Rylski



Lesław Bartelski

STANISŁAW PIĘTAK

UCIECZKA ZE SŁUŻBY

(Z niedawnej przeszłości)

I
Jerzyk wspaniał się wciąż, w górę
Przecież szedł ptaszek czerwony
Gałęzią i wiódł pieśń w chórze.
Lśnił się dzień jego zielony.

— Nie uciekaj, śliczny ptaszku.
Ja zgine, spadnę z gałęzi.
Gładko ejzrobię na daszku.
Imy się ziąbie, uwieź!
Jerzyk wciąż mówił i oto
Już łagodnie uniósł piastkę,
Gdy naraz klasnęło błoto,
Kryk zmiotł ciszę jak gałązkę.

— Gdzie krowy, piekielniku!
Zadusz się śmierć, zabiję! —
Trzasnął się gospodarz i w ryku
Brodził przez żyto po szyć.
„Jak? nie ma na łące bydła...
Matko, więc znowu zajęte...“
Jakby wierzył, że ma skrzydła,
Skoczył, gdzie powietrze ścięte...
Nad śmiercią Jerzyka liście
Plakały, gasł szum zieleńi.
Co to jednak? Ach, jak kiście
Ręczki się podniosły z ziemi...

I już biegł Jerzyk przez pola,
A za nim pogoń, wleżał pegoń.
Ludzie nieśli kije, koła,
Cień po oczach był pożoga.
— Dalej... Jeszcze wał... O, dalej... —
Szepiał Jerzyk, skoczył w rzekę.
Przyjęły go wierne fale.
Oddały lozom w opiekę.

II

W piasku leżąc w cieniu krzaka,
Zasnął z wielkiego zmęczenia.
Nie słyszał więc, że zmierzch plakał
I że cisza puchła ziemia.
Zerwał się, a tu już grmiało —
I błyski smagały pole.
W jaką dźwięczą ciału,
Pobiegł i czuł, jak strach kole...
Już wioski nie było widać,
Dyszał, były się cienie.
Kłós na miedzy drzał jak dzida,
Bo go grom tracił spojrzeniem.
„I do mamy pojsć nie mogę,
Gdzie ja, gdzie ja się ukryję?“ —
Szepiał Jerzy, tropiąc drogę.
I niósł w oczach błysku żmije.
„Miała dostać za mnie żyta.
Z czego biedna chleb upiecze?
Stanie boleścią chlebida,
Placz na sen ja znow powlecze...
Nie, nie wstąpię we drzwi domu —
Padnę przy Azora budzie...
Kiedy zmilknie przestrzeń gromu,
Ciału w świat daleki pójdzie...“
Wolał teraz i biegł z płaczem,
Bo pionoły zwierząt głowy —
I lek chwiał się jak puchaczę,
Piorun otwari sen dąbrowy.
I już oto polna brzoza,
Wyrwana z ziemi, jak skrzypce,
Płynęła w błysku powrozach,
Jeki spadały w rozspyce.
Grom wtem uniósł nawet wioskę.
Domy szły... Ludzie w przestrzeni
Drżeli — i wielki swą troskę.
Wicher w orły krzyk ich mienił,
Biegnać co siły przed siebie,
Jerzyk jęczał, chwytal się drzew,
Co oddalały się w niebie,
Na oczach już sam poczuł krew.
Piorun rozciął o krok ziemię
I ścisnął potoku wargi,
Padając, Jerzyk niósł brzemię
Boleści i szepiał skargi...

— Mówili, mówili w bajce,
Ze wystarczy mi zawołac,
A łęca poda już palce
I przed nieszczęściem mnie schowa
Niech się więc teraz to stanie.
Nieście mnie chmury i drzewa,
Ukryjcie w dalekim łanie
Pod skrawkiem ciepłego nieba.
Niech jadał mi tam nie braknie,
Niech książki mi kto przyniesie.
Będę czytał, jak świat łaknie —
I jak ptaszki żyją w tesie...
Chylli się i błyskawice
Ścierał z twarzy, z piersi jak mgłę.
Koły żalostí deszczu biece.
Wstąpił w sen nagle jak na krę.

III

Białe przestrzenie i złote.
Tu kwiaty były jak śliwy.
Olbzym ziemie rzeźbił młotem.
Białe konie strzegły niwy.
I w świecie było tak cicho
Szum na trawie, że się kładzie —
Jerzyk widział... Kroczył licheń
I cieszył się, śmiał, Był w sadzie...

Patrzy, a naraz z jabloni
Czerwony ptak sfrunął mu w dłoń.
Srebro u stóp jego dzwonił.
Zmarszczona i ludzka jest skroń!..

— Dotknę tym piórkiem jedynie —
Rzekł — a gospodarz twój podły
Kryjnie i na zawsze zglinie.
Nie pomoga mu i modły...

— Nic z tego, ptaszku kochany —
Szepnął Jerzyk — Widzisz, widzisz,
Inni są też tacy sami.
Każdy zgniecie mnie, wyszydzi,
— Jaki więc ja mogę nawet
Zabić tych wszystkich bogaczy —
Wolał ptak, — Rnucę ich na strawę
Wiatrom — i zginią, zobaczysz...
— Nie, nie, ich żyją miliony —
Plakał już Jerzyk i dłońmi
Gładził ptaszka grzbiet czerwony
— Co? Gończy się — szepiał — gończy...

Poczęli biec kolo śliwy.
A tu grom — znow niebo pękło
Obudził się, leżał żywy
I plakał, że serce jętko —

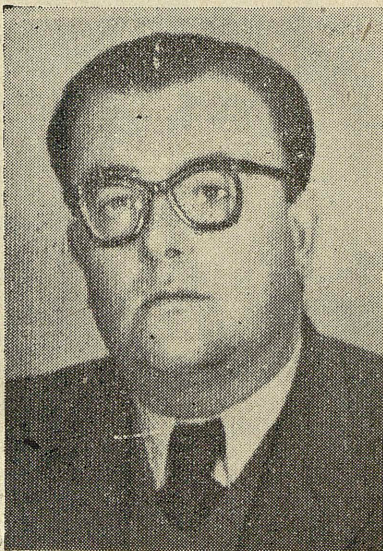
IV

Rano szukała go matka,
Ale chłopca już nie było.
Fianela, gdzie polna kładka,
Serce jej smutnie zabilo.

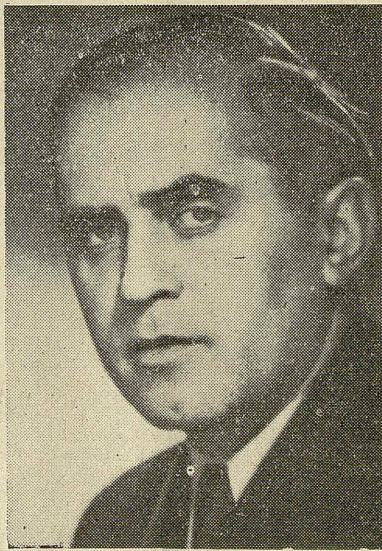
On tymczasem był daleko.
Przebył lasy, przebył miasta.
I nocą nad wielką rzeką
Upadł i na chwilę zasnął.
Niosły go poecią potem
Niosły i wzburzone tratwy.
Twarz miał poranioną błotem.
Runął raz wieczór jak martwy.
Kiedy ludzie go podnieśli,
Czy miał żarem spalone
I nucił bolesne pieśni,
Ze widzi ptaszki czerwone,
One spuszczały mu liście,
Usta chłodziły w gorączki.
Co noc czekał na ich przyście,
Wznosił w górę chude ręczki.

Został, został z tym widzeniem
Nie ujrzał już wcale świata
Przed ciemnością swego cieniem
Uchodził, szepcząc — ulatał...

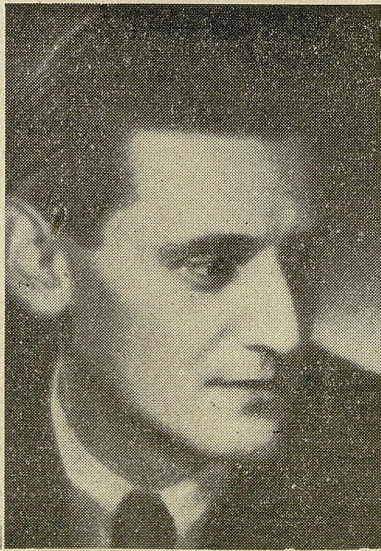
Stanisław Piętak



Prof. Stefan Żółkiewski



Prof. Kazimierz Wyka



Prof. Jan Kott

KAZIMIERZ DĘBNICKI

NAKWASKI PO WOJNIE*)

W rodzinny młócie Nakwaski zabawił niedługo. Zapamiętany przez sprytniejszych znajomych w papierach i świadectwach patrystycznej postawy ruszył na Zachód. Na Ziemię Odzyskaną. Był starostą w Poznańskim, inspektorem na Śląsku, aż wyjechał wreszcie pod Szczecin w Centrali Rolniczej „Samopomocy Chłopskiej”. Był to już rok 1946.

Na Mikolajczyka — Nakwaski na, brał się nie dać, z podziemiem kontaktów nie miał, uchodził za lojalnego bezpartyjnego. Jego blade oczka patrzyły przeciw tak serdecznie i naiwnie, czerwony noszał tak bezbronną zwiast na boku twarzy, ręce tak bezradnie manipulowały palcami — słowem uosobienie skromności, zachości i oddania pracy dla społeczeństwa.

Tak przetrwał do roku 1948, unikając angażowania się w aktywną pracę polityczną, choć ciągnęło go i do PPS i do SL. Dopiero wiosną 1948 r. wstąpił do PPS, jak przed ogniem, broniąc się przed wszelkimi funkcjami.

„Chcę być szarym, uczciwym człowiekiem partii. Nie mam, drodzy moi, ambicji, nie chcę zaszczytów, wystarczy mi czyste sumienie — że dobrze pracuję. Bezinteresownie...” — tak mawiał do znajomych.

Ankiety personalne, mocno zresztą wtedy niedoskonałe, przeszedł gładko, na szkoleniu zawsze się jakoś wykroczył, w pracy opinię sobie zdobył dobrą. Przedziewoceniową rejestrację PPS-u odbył prawidłowo, bez wstrząsów, krótko zaś przed Warszawskim Kongresem wystąpił zdecydowanie przeciw kilku członkom partii, co zjednało mu w oczach niektórych markę bojowego lewicowca.

„Zdemaskowałem ich” — mówił skromnie, „to mój obowiązek”.

Toteż do Zjednoczonej Partii Nakwaski wpłynął rozwinętymi zagłami, jak fregata na pogodnym morze.

W 1949 r. proponowano mu stanowisko w rodzinnym mieście. Wahał się nieco. Pojechał zbadać grunt. Rekonesans wypadł pomyślnie.

Z znajomych nikogo nie było, a jeśli by się nawet jaki trafił, to sam miał duszę w piętach, żeby mu księgi żywota na kartach 1939—1945 r. nie otworzyć.

Zjechał więc w 1949 roku Nakwaski do rodzinnego miasta. Za sprzedany samochód, który doczekał się przegazowania w piwnicy — zorganizował sobie meble.

Z zachodu, jak mówił, nic nie zabral.

„Jakem pojechał — tak wracam. Niech choć jeden będzie uczciwy. Nie szabrownik — pionier” — wyjaśniał ciekawym.

✱

We wrześniu 1950 r. w starej chałupie Breszki na Kruku odbywała się jakby to rzec, pryncypalna rozmowa. Gadał Switek, kierownik Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej, sekretarz partyni Łańczyk, Marian Kruk i drugi Switek. Tematem rozmowy była kontraktacja i skup żywcia.

Pierwsza sprawa — szczerponki. Podnosi ją Marian Kruk.

„Ludzie boją się kontraktować. Pomógł był. Szczerponek nie było. Siedzi gdzieś w urzędzie jakiś zdrowa swinia! Z jakim ryjem jeszcze i ryje... Cholery na nią nie ma! Pomoru nie ma! I przez to nasza wieś z najlepszej kontraktacji — w najgorszą spadnie”.

„Szczerponki szczerponkami, a żarcie to nie?” — cedzi Breszko. Mam teraz swinie. Ładny okaz. Mięsa szutka. Cennikowa, nie? Ale czym ja karmię? Mlekiem? Ja sam lubię mleko — to świnia dam? Kartofli mam może za dużo? No, mogę jej dać trochę. Ale widzieliście swinie, żeby trociny żarła?”

Tu stary Switek zaczął się niespokojnie kręcić na krześle i rzekł: „Jak widać, swinopas jestem urzędowy. Jak tylko mnie widzą na wsi — mówią: idzie nasz swinopas. Bo od dwóch lat chodzę za tymi swiniemi sprawami. Kontraktację kto tu robi? Swinopas — Switek. Kto obiecuje, że ośpa będzie, że otręby będą, szczerponki b...a? — Swinopas-Switek, wiadomo. Nie obrażam się za ten tytuł. Swinopas — niech będzie swinopas. Dopiero teraz mi głupio. Taki tytuł zobowiązuje, nie? A tu ospy nie było, otrąb nie było. O szczerponkach już nie mówię. A czy ja ludzom obiecywałem od siebie? Nie. Jak mnie obiecano i zapewniono — tak ja ludzom. I jak wychodzi? Wychodzi, że Switek to nie urzędowy swinopas, a urzędowy kłamać. Bo jak Switek kłamać, to nie od siebie on kłamać, swinopas taki, ale od partii, od rządu. Każdy przecież wie, że Switek aktywista, partyjny — no — urzędowy człowiek. I cholera ścisła, bo wiem, że w magazynach, w Kielcach, w innych jeszcze, pasze leżą. Kto wie — może gnija. A ty idź człowieku jutro do ludzi i mów, że mają kontraktować, że dostaną to, tamto i owto. Breszko dwa palce w górę podniósł:

„Numer dwa — pasza. Ustalono. A Switek winien i mi wszyscy, bo właśnie za cicho siedziemy i partia może nawet nie wie o tym całym swinińskim interesie. Nasza wina. My żli partyjni. I to trzeba też ludzom powiedzieć”.

„Numer trzy teraz, prawda? — pyta Łańczyk.

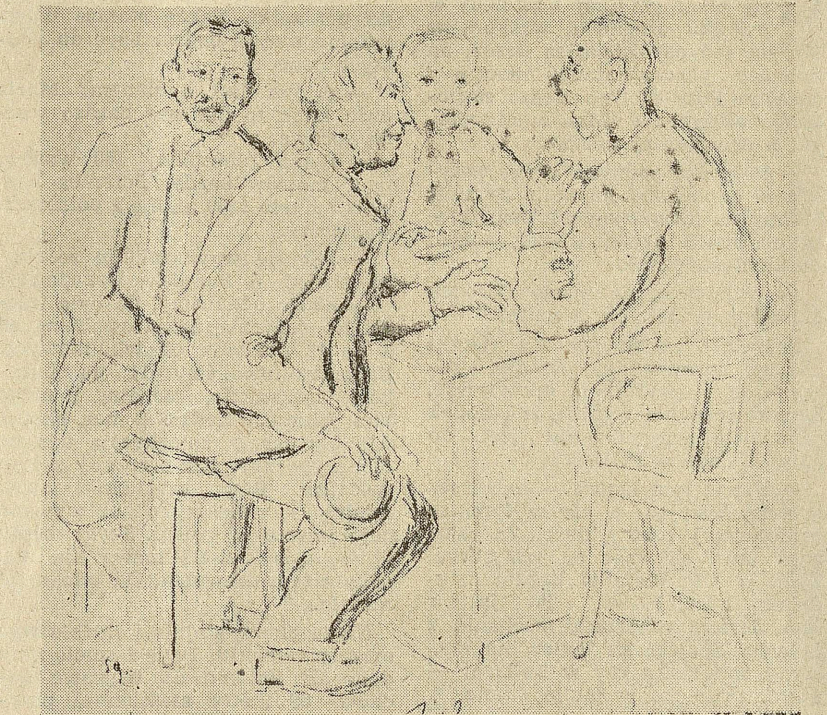
„Numer trzy” — stwierdza Breszko — „Kto referuje?”

„Ja — mówi Łańczyk. — Ja się pytam, czy swinia to jest turystyczne zwierzę? Nie — człowiek to, zwierzę turystyczne, znaczy się lubi ruch. Ale swinia to zwierzę leżące. A już specjalnie swinia kontraktacyjna. Dla niej ruch nie wskazany. Spokój, żarcie, poleżeć sobie lubi. A tu swiniom każą się

Koniec dyskusji. Jutro jedziemy do miasta. Ustalono”.

✱

Ustalono. Wykonano. No, skutek nie był zachwycający. Siedzieli w dyrektorskim sekretariacie tak długo, aż się znudzi sekretarce. Zaproponowała więc uprzejmie, cedząc ustami umalowanymi w kartanego kiera, że może tak innym razem. Ale ani Breszko ani Łańczyk nie poznali się na uprzejmości.



ruszać. Do Kielc. Spacerak taki swinia, powiadają, zrobi, to jej na zdrowie wyjdzie. Człowiekowi by się słabo zrobiło, jakby tak w upał do Kielc go gnali, a co dopiero kontraktowej swini, znaczy się urzędowo spokojnej, nieruchawej, tucznej. Przedtem skup był u nas, w gminie. Też trzeba było do Suchedniowa przyjechać, albo przywieźć No, ale zawsze to bliżej, a do Kielc 27 km, a z takiego Rejowa to będzie grubo ponad 80. A każda do Kielc. I swinia i w ogóle wszystko, co na czterech nogach tazi — do Kielc. W Rejowie był piękny — do Kielc. Gminna Spółdzielnia przyjął go nie chce. Do Kielc — mówią z bykiem. A byk do Kielc nie chce. Raz to go dognał aż do Gozdów. W Gozdzie się urwał. Dziecko pobódi, kobiecie wystraszył, że poroniła, plot połamiał, w chałupie soltyssa pacyfikację chciał zrobić. Zmęczony się i na drugi dzień rano sam sobie do Rejowa wrócił. A to przecież był byk. Cóż dopiero mówić o swini? Bywały takie co w upał nawet na wozie wlezione zdychały. A ilu ludzi ma wóz? I konie. Na 10 kontraktujących może się jeden znaleźć.

Tu Switek wtrącił:

„A jak ci nawet swinia nie zdechnie, to waga traci... A policz sobie ile waży ludzki ciels. My przecież niby chłop, ale wielu na fabryce pracuje i żona też często, albo w spółdzielni, albo w „Marywilu”, albo jeszcze gdzie. I co? Czas tracić, dzień zmarnować, od roboty, od maszyn odejść, żeby swinie panom biurokratom pod nos, do Kielc dostawić, w stanie śniętym często.”

Breszko trzy palce do góry podniósł i uroczysto oznajmił:

„Numer trzy — miejsce skupu. Nie tylko swini — bydlą w ogóle.

✱

W tym czasie, jakby ktoś prądem dągał Skoczyla i buch w dygnitarzkie drzwi, za którymi coś zaszemrało, zaszepotało, zapiszczało i zaraz w nich stanął sam Nakwaski, przecierając niemiarkie swięta od binokli, a jednocześnie niespodziewanie grubym głosem wykrzykując:

„Ależ proszę bardzo, bardzo proszę, towarzysze...”

Zaczęli skromnie. Od sprawy mator, Nakwaski na wszystko się zgadzał. Oczkami potakując mrugał, palcami lewej reki przebiegał, męsiły długi czerwony nos z boku na bok twarz przekładał. Zdawał się być olśniony, zdawał się być całym sobą po stronie skrzywdzonych mator. Toteż Łańczyk i Breszko mówili z coraz to rosnącym zapalem,

Breszko twarz okrutnie zmarszczył. Łańczyk ścisnął wielkie pięści. „My byśmy może i mogli — innym razem. Ale swinie, panienka rozumie, nie mogą, a my właśnie w sprawie swini. W niecierpięcej zwolki sprawie. A jak panienka ma ochotę wiewprzownik pojeść, to proszę, do pana kierownika. Tylko szybko!”

„Tylko bez gburowatości” — syknęła panienka. „Mówię przecież wyraźnie, że kierownik zajęty”.

„A my — wyraźnie, że sprawa ważna. Wysokiego asortymentu” — zaczął Breszko, ale mu Łańczyk przerwał.

„Nie ma czasu kierownik? No to znajdzie czas w kryminale. Jak kontraktacja nawali. Niech no panienka kuperek z krzesła ruszy i duchem do kierownika. My tu nie po prośbie, my po partyjnej linii, ja jestem sekretarzem, a ten to Breszko, członek Gminnego Komitetu. A nie zechce kierownik przyjąć — to my do Wojewódzkiego Komitetu poidziemy. Niedaleko stąd przecież. No żywo — panieneczko, żywo!”

Umalowaną jakby kot prądem dągał Skoczyla i buch w dygnitarzkie drzwi, za którymi coś zaszemrało, zaszepotało, zapiszczało i zaraz w nich stanął sam Nakwaski, przecierając niemiarkie swięta od binokli, a jednocześnie niespodziewanie grubym głosem wykrzykując:

„Ależ proszę bardzo, bardzo proszę, towarzysze...”

Zaczęli skromnie. Od sprawy mator, Nakwaski na wszystko się zgadzał. Oczkami potakując mrugał, palcami lewej reki przebiegał, męsiły długi czerwony nos z boku na bok twarz przekładał. Zdawał się być olśniony, zdawał się być całym sobą po stronie skrzywdzonych mator. Toteż Łańczyk i Breszko mówili z coraz to rosnącym zapalem,

✱

Tymczasem tego jeszcze wieczoru do mieszkanka Nakwaskiego przyszedł mężczyzna elegancko ubrany, pachnący dobrą lawendą. Chodząca 100 proc. wełna i czysty jedwab, nie

a Nakwaski coraz gorliwiej przytakiwał. Wreszcie odezwał się:

„Macie towarzysze najzupełniejszą rację. Dawno to sam mówiłem. Maciory i prosięta przede wszystkim. Ale co? Niezrozumienie u nas w centralnych władzach dla tych spraw panuje, kompletna ignorancja. Nie mówię, broń panie Boże, że zła wola. Skądże?” Po prostu brak elementarnej wiedzy i praktyki. U nas się pewne rzeczy robi na efekt, żeby dużo i żeby tłusto. A maciory, eech! — machnął reką.

„To znaczy, towarzyszu kierownik, że z tymi maciorymi nie przejdzie?” — zapytał Łańczyk.

„No tak od razu — nie przejdzie. Postaramy się. Nie takie trudności się przełamywało. Ale ręczyć nie mogę”.

Wtedy zaczęli mówić. O szczerponkach. Nakwaski znowu cały zamienił się w słuch. Stał się jednym ogromnym uchem. Po czym stwierdził:

„Okropna rzecz. Biedne zwierzątka. Do ziemi. Coś okropnego. Niedbalstwo. Niesłychane niedbalstwo. Poruszę tę sprawę gdzie trzeba. Nawet do Bezpieczeństwa się zwrócę. Przecież to uprost sabotaż. Ale muszę Wam towarzysze, powiedzieć, tak między nami, że to z winy Warszawy. Tam po prostu biurokracja się panoszy. Ileż to razy sam zwracałem uwagę. Mówiłem, ludzie: pomóż, swinie padają, szczerponek brak. A każdy ramionami wzruszał. Cóż swinie, towarzysze, dla biurokracji. Ale zanotujemy, zainteresujemy. Zobaczymy. Cóż dalej?”

Dalej było podobnie. Oni mówili. Nakwaski potakiwał, szła pocierając, nosem ruszał, a potem zapewniał, oburzał się, przyrzekał, notował i wszystko uzależniał od złamania jakichś tam biurokratycznych oporów nie tu, broń Boże, na miejscu, ale w centrali, w Warszawie! Odprowadził ich wreszcie aż do drzwi, wylewnie pożegnał i dopiero przyduszony przez Łańczyka, żeby przedko zawiadomił, zapytał jeszcze na pożegnanie, tak od niechcenia:

„A wy, towarzysze, właściwie skąd?”

„Z Kruka”.

„A gdzie to?”

„Suchedniów” — burknął Breszko.

„A, a, a — Suchedniów” — zaśpiewał Nakwaski i potem już tylko powiedział:

„No to do widzenia”.

„Podobał wam się ten Nakwaski, Breszko?” — spytał na ulicy Łańczyk.

„Jak krowie gęź” — rozłożył się tamten.

„Gadać umie, co?”

„Umie. Trzymając w przedpokoju jeszcze lepiej. I taki o biurokratach z Warszawy głądzi!”

„A widzieliście Breszko jak to sobie przypomniał, na sam koniec, żeby zapytać — skąd my właściwie jesteśmy?”

„Pewnie. A notował sobie, że będzie się starał, że da znać. Gdybyście go nie przycisnęli, w ogóle by nie wiedział, kto, skąd, od kogo”.

„Wiedzi, Breszko ja go skądś znam. Gdzieś go widziałem” — zamyslił się Łańczyk.

„Coś mi się Suchedniów nie podobał”, — dorzucił Breszko. Wstąpił jeszcze do Powiatowego Komitetu.

✱

Tymczasem tego jeszcze wieczoru do mieszkanka Nakwaskiego przyszedł mężczyzna elegancko ubrany, pachnący dobrą lawendą. Chodząca 100 proc. wełna i czysty jedwab, nie

mówiąc już o najprawdziwszych zamszach na nogach. Nakwaski gościa przyjął niechętnie, mrukiwie. „Głową mnie to będzie kosztować” — burczał kręcąc się wokół fotela, na którym zasiadł gentelman.

„Na razie to pan głowę ratujesz. Dzięki nam”.

„Wcale nie jestem pewien. Ostrożnie tamto śmiercią nie groziło”.

„Śmiercią? To zależy. Ile się wie. A ja np. wiem dużo. L. Schuppke żyje, drogi Nakwaski”.

Nakwaski zgąbił się. Ramiona wciągnął. Głowę opuścił. Machinalnie przetarł szklą.

„Więc co mam właściwie robić?” — zapytał zgaszonym głosem.

„To, co dotychczas. Bałagan, chaos, budzić niezadowolenie. A wszystko ludowo, demokratycznie, z taką antybiurokratyczną inicjatywą. Być biurokrata i udawać, że się z biurokacją walczą — to dopiero sztuka, kochany Nakwaski”.

„Nie wystarczy być biurokrata...” zmartwił się Nakwaski.

„Pewnie — szpakowaty wstał, klepnął naszego bohatera po ramieniu. „Pewnie” — powtórzył. Trzeba jeszcze być wrogiem. Jak to oni mówią — klasowym. Pan ma w tym kierunku dobre kwalifikacje i rutynę. Staż”.

„Jeszcze mi też będzie potrzebny raport, Nakwaski. Ma pan chyba kopie czerwcowych spisów?”

Tej nocy Nakwaski nie spał. Myślał o tych dwóch z Suchedniowa i o tym trzecim gentelmanie. Załował już, że wrócił do rodzinnego miasta.

✱

Była już późna jesień, kiedy Łańczyk i Breszko wybrali się znowu do miasta samochodem spółdzielni. Nie sami. Wzięli jeszcze starego Adama, któremu jakaś choroba w

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

✱

KRONIKA RODZINY

(Dokończenie ze str. 1)

miała dla tych, co jej nie posiadali. Kto ma własność produkcyjną, temu takie położenie dodaje niewolników produkcji. Nie trzeba wiele myśleć, aby to zrozumieć.

✱

Tak to mój gospodarz dwa razy w życiu czapkował. Raz na kolej przez lat dziesięć, drugi raz u stryjostwa przez lat dwadzieścia.

W 1945 r. zmarła stryjna. Zostali wreszcie niezależnymi gospodarzami i niepodzielnymi właścicielami 7,5 ha ziemi (5 po stryju, 2,5 po matce żony). Kochają dzieci. Jedno umarło w czasach służby u stryjów, dwóch synów zdrowych naschwał ma przed sobą jasną przyszłość. 18-letni uczy się w miejscowym liceum, ośmioletni jeszcze w powozach, ale już zamierzają pokierować go wyżej, bo zdolny „chodocek”. Tej polityki pilnuje żona, — Oj kum — mówi do przyjaciółki — a coście Wy zrobili z najstarszą? Rozbraja ją jest szczerze sąsiadki. Od razu szczegółowo zaczyna spowiadać się z grzechu zadowolonej matki. Najstarsza była, w szkole celująca i miała „powołanie” do malowania. Ale jak to dziewczynę puścić z 9 hektarów? Potrzebna była w gospodarstwie i choć gimnazjum 4 sto metrów, matka —

tercjarka nie miała zaufania do edukacji. Dziś co innego, jest już pewna, że ile by chłopaków i dziewczyn nie poszło do szkół wyższych, dla wszystkich znajdzie się zajęcie. Tak teraz jest. Jeszcze by się i teraz po-

prawia wobec najstarszej, ale ma już chłopca i dziecko, gdzie takiej szkółki, choć na to „malowanie” wciąż choruje i od ludzi matka nie ma spokoju. Wymawiają jej i wymawiają. Młodszy już nie zmarnuje, bo też najlepsza uczennica w klasie. — Kto by to zgadł, jo ta nigdy w głowie nie mądrego nie miałam, maż też był na umyśle paraliż, a córka jedna w drugą jakby nie nasze, takie zdolne.

— A Wam gospodarzu niczego nie wymawiają ludzie? — spytałem niespodziewanie.

— Ze niby do spółdzielni nie idę? To jeszcze nie grzech. Nie chcę być pierwszy. Jak ruszy wieś nie będę ostatni. A porzeczcie rzekiem już, że trzeci raz nie zamierzam czapkować. Człowiek wie wreszcie wyrwał na swobodę. Dziesięć lat lasiem się jak pies przy kole. Życia i świata nie znam. Trzymam się toru, jak pijany poręcz. Od odcinka do odcinka, byle nie przepaść, i po dziesięciu latach, kiedy mógł być ze mnie fachowiec na amon zabrakło miejsca i pracy. Widziałem to po lepszych ode mnie. A u stryja w niewoli cóżem znalazł? Sobaczę było życie. Któż ciężej ode mnie wypracował te ziemie? Tyle się najadłem „zależności”, że każda mnie teraz straszy. Jak człowiek nie miał stracić zaufania do ludzi? Dla obcych byłam pies, dla rodziny jeszcze gorszy kundel. Ja Wam powiem. Zona chce obu synów w świat na naukę wyprowadzić. Nie zaprzeczam, a wiecie dlaczego? Bo mi się czasami

zdujduje, że własne dziecko takie mogłoby mi sprawić „dożywiecie”, jak to w naszych rodzinach bywa. Cóż stryj zrobił z naszym dzieckiem, co zrobił z nami, choć w jednej mieszkalni chacie? Mnie nasza przeszłość nie tylko boli, ale i straszy.

— A wiecie, dlaczego Was to młnionie czapkowanie straszy? — Trochę może i wiem, jednacy mi wszyscy, jak że życie — żli ludzie, jak dobre — łatwiej być człowiekiem.

— Mieliście zle życie, a mówicie tylko o czapkowaniu. Nie dopowiadacie drugich dziejów, w których biorąc ciego, sami zadawaliście innym niemięjsze. Tak, tak. Oto kilka pytań, na które nie musicie mi teraz odpowiedzieć, ale się nad nimi zastanówcie.

W świat posłisście najstarszy. Zostawiście matkę — wdowę i trzech małoletnich braci. Sukaliście ranek dla siebie ale za Waszymi plecami została bez ratunku rodzina. Czy tak nie było? Kiedy stryj Wam zapisał ziemię, oświec, wraz z niewolą, jakiej nawet nie przeczuwaliście, była to Wasza wygrana nad własnymi braćmi, siostrami i siostrzeńcami stryjny. Wszyscy oni Wam zazdrościli i zlorzeczyl łatami. Wyście, harując, mieli w perspektywie gospodarstwo, a oni? Co się stało z Waszymi braćmi? Co z siostrzeńcami stryjny? Czy to, że Wy teraz średniak, na własnym gospodarstwie, czy to zabezpiecza Waszych braci i siostrzenice? Co ich postawi na nogi? Czy nie czujecie się dłużnikami wobec braci, czy

w Waszej konkurencji z siostrzeńcami stryjny nie leży kamień krzywdy?

Zona Wasza miała matkę i sześć siostr — poumierali. Nędza rodziła choroby, choroby kończyły się śmiercią. Na wianie żony, na tych dwu i pół hektara ziemi stój siedem grobów. Nieraz zaglądała Wam rozpaczliwie w oczy zona: „Wojtek, u mojej matki i siostr choroba i głód, jak pomóc jak żyć, żeby inni też mogli żyć?”

Tak, z czapkowania wydobyliście się ale z długu wobec tych, z którymi konkurowaliście o życie, — nie. To Was straszy z przeszłości. Wasze życie było, jak mówicie „sobaczę”, nie tylko dlatego, że sami czapkowaliście, ale że musieliście patrzeć, jak wokół wszystkie gałęzie rodziny marnieją. Ze nie mogliście pomóc, że — gorzej — kapitalistyczny ustrój kazał Wam zamykać oczy na los własnej i żony rodziny, kazał Wam walczyć o miszk soczewicy z takimi samymi nędzarzami po stronie stryjny.

Jestście teraz na pozycji stryja. A ta pozycja utwierdza i przywraca dawną przeszłość. Gdyby ona nadal miała pozostać zmianieniem czasów, nie ucilibyby jęk umierających siostr Waszej ż

JERZY K. MACIEJEWSKI

Na Mazurach szlakiem „wędrownych czasów”

Piławki, środa, 4.VII

Pierwsza stacyjka za Ostródą, wokoło lasy sosnowe, a w środku, jak w szmaragdowej niecce, olbrzymie, wydłużone w nieskończoność jezioro Drwęca. „Błękitna tutaj cisza i słoneczność mieszka” — jakby powiedziała poetka.

Wzgórza o mocno wyschniętej trawie zbiega do jeziora. Na zboczu pasie kilka krów i owce chłop — wysoki, niemłody już, w gumowych butach.

Zaraz od pierwszych słów widać, że człowiek „bywały” (próbował szczęścia w USA) i rozgarnięty. Zięć jego, Rybicki, pracuje tutaj w lesie przy żywcowaniu. A on wraz z żoną przy nim. Ot, tak, bydeńko popasie, ten kawałek ziemi obrobi...

— A dużo tej ziemi?
— Parę hektarów, ale tu ziemi, panie, ile kto chce brać. Aby tylko sił i sprężaju starczyło, Dyrekcja

da. I lasy, lasy. Tuż przy polnej drodze żerdki, którymi Antoni Kaliszewski chce grodzić swe ziemniaki. Zito już ogrodzone przed zwierzętami, bo dzików i jeleni (tak z kurpiowska mówi na jelenie) zastrzeżenie. Uchronić się trudno. Ziemczka też niećga. Taka jak u mnie w przasnyskim.

— To macie swój grunt w Polsce Centralnej?

— A tak, mam kilka hektarów. Ale był tam u mnie sąsiad, bezrolny, a z kupą dzieci. Kiedy się zwiędziały, że jęde do zięcia, więc do mnie: wydźierzawcie. To ja mu ziemie-m obrobił, nawet kilka metrów zboża wsiadł. Masz, gospodarzu, bylebyś podatków opłacił.

— A czemu on nie chciał tu jeździć?

— Ma dzieci małe, bał się...

— Bał się? Czego?

— At, widzicie, nierozgarnięty. Ale się wyrobi na tej ziemi, com

Czuwa nad swoją Alisją, jak kwoka nad kurczętami: nie odchodzi! Ubierz się ciepło! Nie chodź szybko!

Alisia ma pociągłą, bladą twarz, obramowaną puklami ciemnych włosów, wielkie, wyrastające oczy, szczupłą, niezgrabną figurkę podłotką.

Przy kolacji oznajmiła matce, że nazajutrz jedzie „z tamtymi” łodzią na jezioro. Matka, wzburzona, wzywa mnie na świadka: „Alisia nie umie pływać, utopi się!” Obracam to w żart. Bo oto nadeszła chwila, gdy matka utraciła część swej władzy na rzecz zespołu.

Nazajutrz Alisia przybiega na oświadczenie, z wiązanką lilii wodnych. Właśnie wróciła z wycieczki łodzią na jezioro. Zagiełbili z przesiadką.

— Mam, to było wspaniałe! — woła do matki, która załamana ręce, gdyby nie patrząc na tę scenę towarzysze wyprawy Alisi.

*

Piławki, piątek 6.VII

Mławki toną w lasach. Kiedy się tuż za schroniskiem skręci w las, można iść borem 5—10—20 i więcej kilometrów, nie spotykając żywego ducha, bo gajówki są tylko przy szosach.

Las nad brzegiem jeziora jest piękny, stary, miesza: sosna, dąb, buk, grab... Sosny masztowe. Ich pomarańczowe, strzeliste pnie gorzej są w słońcu zachodzie, jak rozżarzona miedź.

Część tego lasu przeznaczona jest na wyrab w ciągu trzech lat. Obecnie jest żywcowana.

Właśnie nad jedną z sosen pochyla się postać ludzka. To jeden z czterech robotników, zajętych żywcowaniem tej części lasu, Leon Czaplicki, ze wsi Bagienki, gm. Miłomłyn. Czaplicki jest wysokim, postawnym blondynem. Chętnie opowiada o swej pracy:

— Za 1 kilo żywicy mamy 1,54 zł. To jest wcale nieźle, ale zbiór zależy od pogody. Dotychczasowe susze nie sprzyjały żywcowaniu. Teraz może się to zmienić. Na każdego z nas przypada 882 „okna”. To nie znaczy, że tyleż drzew. Niektóre sosny mają jedno okno, inne dwa, a nawet trzy. Zależy od grubości drzewa. A te to sosny żywicować nie będą. Kiedyś uderzył w nią piorun. Inne stoją nad urwistym brzegiem i nie ma dostępu do nich. Jedno „okno” powinno dać przeciętnie 1,80 kg żywicy. Na wiosnę mieliśmy kłopot: rybak, a także niektórzy młodzi czasowicze zabierali nam kłębki od żywicy, nęrasz wrzucali do jeziora. Niepotrzebna strata...

— A jak poznajecie swoje „okna”?

— Panie, ja bym z zawiazanymi oczyma do swoich trafił. Wiem nawet, które drzewo ile żywicy daje. — Skąd pochodzicie?
— Z powiatu przasnyskiego. Przy-

szedłem tu w r. 1948. W domu własnej ziemi nie miałem, pętałem się przy matce, zarobku nie było. Każdy, wicie, szuka kawałka chleba. Przyszedłem tu z jedną krową, tum sobie drugę przychował, tum kupił konia, mamy świnia, żona chowa kury. Kawałek pola pod kartofle uprawiam — tu dopiero czujemy się ludźmi.

*

Miłomłyn, sobota 7.VII

Gminny Komitet PZPR mieści się obok gminnej biblioteki w pokoju długim a wąskim, w którym jedyną ozdobą są liczne, na ścianach porozwieszane plakaty i odezwy. Przy stoliku siedzi sekretarz, mężczyzna wysoki, w siłę wieku, o energicznej twarzy.

— Pożyczkę podpisali u nas wszyscy — odpowiada na moje pytanie. Stoimy na pierwszym miejscu. Wiele podpisał nawet więcej, aniżeli na nich przypadło.

— Widziałem, że macie Ośrodek Maszynowy. Jak on pracuje?

Sekretarz wydobywa z teczki „Różne” sprawozdanie ośrodka i zaczyna je z satysfakcją odczytywać. Ze sprawozdania wynika, że ośrodek całkowicie przygotowany jest do żniw. Także w PGR-ach.

— Nie w tym kłopot — mówi sekretarz, wstając — ale w tym, że papierkowej roboty dużo. Ze człowieka musi się znać na wszystkim. Tam, w KP, mają w każdej dziedzinie specjalistów. Tu jestem sam. Jestem robotnicarzem, mechanikiem z zawodu. Spójrz na motor, na maszynę w tartaku czy w kafilarni — wiem, jakie są, w jakim stanie. A tu trzeba opanować wszystko. W mojej zaś gminie jest samych pracowników umysłowych blisko stu dwudziestu...

*

Idę z Miłomłyną w kierunku Ostródy. Pola, lasy. Ugór zorany w głębokie bruzdy, w nich delikatnie zielenią się sadzonki sosen i świerków. Zerwano już — na szczęście — z jednolitymi blokami: jak sosna — to dziesięć hektarów sosny, a potem łatwy żer dla sówki-choinówki czy mniszki barczatki.

Po drodze dogania mnie mężczyzna ogorzał, w cągowym ubraniu. Idziemy w jednym kierunku. Asfaltowa szosa ucieka spod nóg. Mężczyzna zaczyna mówić:

Nazywa się Józef Sowa. Jest członkiem zarządu spółdzielni produkcyjnej II st. Piaski, gm. Stary Dzierżon, pow. Morąg. Przyjechał do Miłomłyną w sprawie budulca dla spółdzielni.

Spółdzielnia założyła jesienią ubiegłego roku. Przysąpiło do niej 17 rodzin. Poza spółdzielnią pozostało jedynie dwóch. Spółdzielnia ma na razie 143 ha, ale do zagospodarowania może mieć całe 280 ha majątku Piaski. Działki przysięgowe wyznaczili po 60 arów. Jako

wkład do spółdzielni tych siedemnastu dało 16 dobrych koni i 7 krów. Świnie nie było. Nastawiają się na gospodarstwo rolniczo-hodowlane. Z przyznanego kredytu na byli na razie 4 rasowe krowy. Świnie wspólnych mają już 6. Liczbę tę chcą wydatnie powiększyć. Część maszyn rolniczych przyznano im z Funduszu Ziemi. Poza tym będą korzystali z wydanej obsługi POM-u z Zalewa.

— A ile osób wychodzi do pracy w polu?

— Do 40. W żniwa dociągniemy do pół setki. Także starsze dzieci szkolne można będzie użyć do lżejszych prac.

— A jak jest z sianem? Macie dużo koni, to dla was bardzo ważna sprawa.

— Siana zebraliśmy 150 wozów, po 6 metrów każdy. Potrzeba nam będzie około 1300 m, ale z potrawem wystarczy.

— Jak się wywiązaście ze skupu zboża? Z Pożyczki Narodowej?

— Zboże oddaliśmy, ile było trzeba. Na pożyczkę deklarowaliśmy od 6 do 12 dniówek obrachunkowych. Zakontraktowaliśmy 11 ha buraków, jęczmienia, rzepaku i czego tam jeszcze... Ludzie u nas chętni. Ale biurokraty zniechęcają nas na różne sposoby. Na przykład z polami światłem. Przy zakładaniu spółdzielni — elektrykę obiecywano nam jeszcze w jesieni. Teraz mamy lipiec, a o świetle mowy nie ma. Albo z tym drewnem. Od lutego się zaczęło...

Nasza obora, stajnia i stodoła wymagały remontu. Papę i smole nam dali, ale drewno na naprawę dachów, 83 metry sześciennie, przyznano nam na tartaku w Miłomłynie. Mówiliśmy, że daleko, więc przetruciono zamówienie do Ostródy. Wcale nie lepiej. My prosili, żeby w tartaku w Suszu, od nas tylko 15 km, ściągaliśmy i furmankami. Powiedzieli jednak, że nie ma takich wymiarów, jakie nam są potrzebne, kantówka 8-metrowa. I znów skierowano nas do Miłomłyną. A to 37 km od Piasków. Więc tak: transport do kolei, naładunek na wagony, przewóz koleją, wyładunek, przewóz ze stacji. Ileż to złotych na metrze należy? Samochodami, owszem wygodniej, prędzej, ale jeszcze drożej. A tu pieniądze społeczne. Trzeba oszczędzać każdy grosz, bardziej jak własny... Żniwa się zaczynają. Przetwarzają najlepsze zboże. Ludzie czym innym zajęci i dokąd zboże z pola zwozić? Może napiszecie w gazecie, żeby tych spraw nie załatwiali tak biurokratycznie?

— Napiszcie. — A czy inne sprawy idą równie opornie?

— Nie. Zboże siewne dostaliśmy, nawozy też w wystarczającej ilości. Także na łaki i nasiona łąkowe. Nie można powiedzieć. Koło schroniska drogi nasze się rozchodzili.

Krynica Morska, poniedziałek 9.VII

Uwylotu kanału do Zalewu, na płytkich, porośniętych zielenią wodach prawdziwe królestwo ptactwa: mewy nieodstępnie towarzyszą statkowi, perkozy prześlizgują się w szuwarach, spłoszone zrywają się dzikie kaczki. Wielkie czaple we wspaniałe aerodynamiczne skrócie — jak na japońskich drzeworytach — szybują nad wodą.

Zalew Wiślany — olbrzymia roztoż wodna. Gdyby iść za przykładem Holendrów, osuszających polodery na Zuyderzee i osuszyć te olbrzymie obszary! Cóż za wspaniałe, urodzajne mady zyskaloby się pod uprawę! Plany stworzenia tu nowych Żuław podobno już się przygotowuje.

Plaża w Krynicy Morskiej roi się od czasowiczków i od dzieciarni z licznych kolonii letnich. Są to dzieci klasy pracującej, dla których ten piasek, słońce, woda i powietrze nadmorskie jest błogosławieństwem. Ich szczebiot, konkurencja skutecznie z krzykiem niezmordowanych mew.

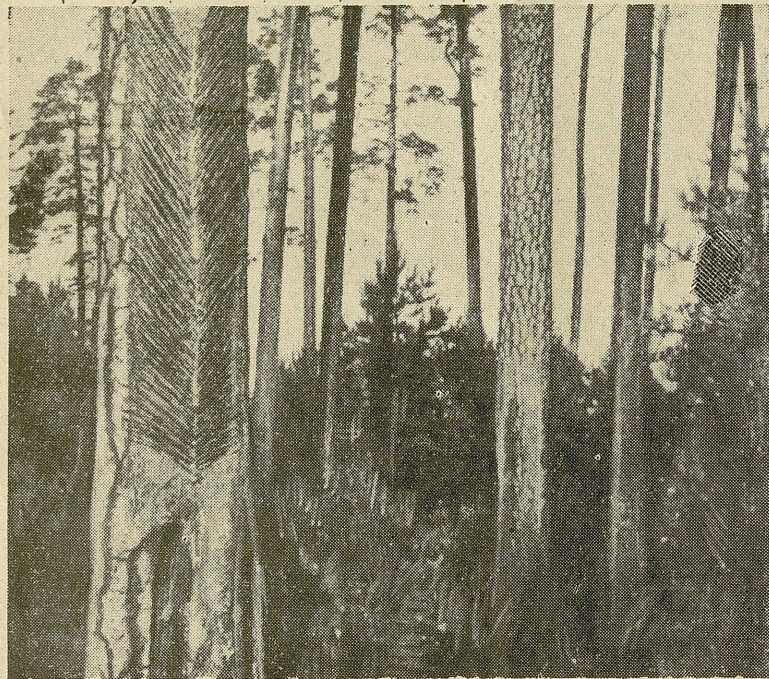
Sadząc powierzchnię (bo na przykładzie naszego turnusu) za mało jednak wśród starszych czasowiczków widzi się ludzi ciężkiej pracy: górników, hutników, metalowców, włóknarzy, robotników z zakładów chemicznych. Gdzie oni są? Dlaczego nie przezwajają, dla czego wciąż jeszcze stronią od czasowiczków, nie wykorzystując ich należycie?

Zaraz za plażą w upalnym słońcu uwijają się spalenia na brzo robotniczy. Podchodzę do jednego z nich. W piasku nadmorskiego zbocza kopie wąskie rowki i osadza w nich prostokątami wysokie na kilkadziesiąt centymetrów sosnowe kółki i gałęzie. Przysypuje u podłoża piaskiem.

Mówi o sobie:

— Jestem z Włocławka. Przyjechałem tu przed paru laty i pracowałem zrazu jako rybak. Lubie morze. Ale jakoś nie dobrał się do pracy i praca była niestawa i niepewna. Potem spotkałem kolegę i ten namówił mnie do pracy nad umacnianiem brzegu. Mam tu od metra biejącego — wskazał na stawiane zagrody — 46 groszy. Przyszykowanie drzewa i „zacinanie”, płatne osobno. Dziennie wyciągnę do 25 zł. Matka pracuje w Krynicy również i jakoś sobie żyje. Lubie tę pracę. Jest to nieustanna walka z morzem. Jesienne sztormy podmywają brzegi, ale piaski zasypują nasze umocnienia, porasta je trawa, my stawiamy nowe zagrody, piach się od nowa zasypuje i tak brzeg rośnie, umacnia się. Nasz brzeg. Nasze wybrzeże...

Przyszedł na te ziemie z Przasnyskiego i z Kujaw z Mazowsza i z Białostocznym. Umacniając brzegi, zagospodarowując nieużytki, uprawiając odoły, pracując w lasach — wszędzie. Umacniał Pałac Ludo-
wa.
Jerzy K. Maciejewski



Lasów nie żałuje. O, jak pójdzicie za szosą na ten wzgórek, to zobaczcie moje żytko i kartofle...

Zależy mu na tym, aby zobaczyć jego żytko i ziemniaki, więc idzie-
nie powoli w tamtą stronę. Zwinną
pliszka wszywa się pomiędzy bydlę,
polując na towarzyszące muchy.

— Ładną owcę macie. Czemu nie
hodujecie ich więcej?

— Jedną to się trzyma stada, a
jak ich jest więcej, to już idą swymi
drogami i wtedy jest z nimi kłopot.
A z tej to ma się wełnę czy to
na sweterek — pomagać się po swe-
trze — czy na rękawice, albo skar-
petki...

Wchodzimy na wzgórze. W dole
widnieje jezioro, dachy zabudowań
Rybickiego wstęga szosy, trapiące
pudło autobusu. Miłomłyn-Ostród-

mu zostawił. Nauczy się, że jak ja
się nie boję tutaj, to i on się nie
powinien bać. Choć on tam został,
ale musi myśleć o mnie i o tutej-
szej ziemi, że toć to nasze.

*

Piławki, czwartek, 5.VII

Naszemu turnusowi ton nadaje
młodzież. Cała grupa z handlu
uspołecznionego z Cieszyńska.
Dziewczeta barwne jak motyle, a
rozpięte jak ptaki. Chłopcy w
krótkich spodenkach, z kolorowymi
chusteczkami na szyi — pływacy
i żeglarze.

Przy naszym stoliku siadają matka
z córką. Matka straciła męża w
powstaniu i pozostała z dwójkiem
dzieci. Wychowała syna na inżyniera,
córkę, (16-ty rok), jest przy niej.

ALEKSANDER SZYMANEK

Mieszkania dla Śląska

WOJEWÓDZTWO katowickie, jakkolwiek należy do rzędu najmniejszych w kraju — zajmuje bowiem tylko 2,9% jego ogólnej powierzchni — skupia trzecią część przemysłu ogólnonarodowego i 10,7 ludności Polski. Gęstość zaludnienia przekracza tu cyfrę 300 mieszkańców na km kw. Jest ono więc — największym skupieniem ludzkim w naszym kraju.

W Planie 6-letnim na skutek rozwoju przemysłowego innych województw — udział Śląska w gospodarce narodowej zmniejszy się wprawdzie do czwartej części, co nie oznacza bynajmniej skrócenia rozwojowego tego okręgu. Wręcz przeciwnie — najbliższe lata przyniosą województwu katowickiemu 10 nowych, zmechanizowanych kopalń węgla kamiennego, szereg kopalń rud: żelaznej, cynkowej i celiowej, 2 potężne elektrownie cieplne (w Miechowie i Jaworznie) 2 huty, 8 koksownic, i szereg innych zakładów przemysłu kłusowego na ogólną łączną 37. Wartość produkcji przemysłowej Śląska w porównaniu z r. 1949 wzrośnie dwukrotnie.

Rzecz zrozumiała, że przy takim rozwoju przemysłu siłą faktu wzrośnie cyfra zatrudnionych. Jeżeli za podstawę przyjmijemy stan zatrudnienia z r. 1949, to w roku 1955 zwiększy się on o przeszło 17 proc. Mówiąc innymi słowami, w Planie 6-letnim przybędzie Śląskowi około pół miliona ludzi, którzy staną do pracy w nowych zakładach; duża ich część przybędzie z innych województw i trzeba jej dać mieszkania w pobliżu zakładu pracy.

Istotnym więc problemem Śląska jest budownictwo mieszkaniowe.

Problem ten w naszym województwie, a zwłaszcza w tzw. Niece Węglowej jest szczególnie trudny i skomplikowany. Występuje tu z jednej strony chaos i ciasnota budownictwa kapitalistycznego, z drugiej — nietrwałość gruntu, spowodowana pozostałymi z czasów „sanacyjnej wolności” bieda — szymbami oraz nie zabezpieczonymi — zarówno przez kapitalistów jak i

okupanta — wybranymi pokładami węgla. Stąd biorą się tak częste w Zagłębiu Węglowym wypadki zapadania się gruntów i dróg, a nawet budynków. Przy budowie osiedla robotniczego w Dąbrowie Górniczej natrafiono na przewidywaną zasypkę bleda-szyb, co zmusiło kierownictwo budowy do zmiany planu sporego odcinka osiedla, pomimo, że roboty ziemne były już daleko posunięte.

Już w okresie planu 3-letniego kiedy przemysł dotkliwie odczuwał brak rąk roboczych, a akcja werbunkowa rozbiła się często o brak mieszkań dla przybywających robotników, przystąpiono do budowy kilkunastu osiedli tzw. „fińskich domków” po kilkadziesiąt budynków każde. W nowych osiedlach, powstałych m. in. w Katowicach, Wojkowicach Komornych, Grodzku, Czeladzi i Nivce, — kilkopokojowe, jednorodzinne domki, elektryfikowane i skanalizowane, otoczone niewielkimi ogródkami, zaopatrzono także w niezbędne zabudowania gospodarskie.

Prawie w tym samym czasie ZOR rozpoczął budowę szeregu nowoczesnych osiedli, składających się z kilkupiętrowych, komfortowo urządzonych bloków. Pracom nadano tempo, które pozwoliło w ciągu trzech lat oddać do użytku 39 tys. izb. Tak więc w latach 1948 — 1950 zamieszkało w nowych domach 65 tys. osób.

Cyfrę tę — biorąc obiektywnie — olbrzymie — są jedynie zapowiedzią tego, co już powstaje lub w najbliższym okresie zostanie wybudowane; nowe dzielnice w Katowicach — Koszucie, Brynowie, Zajączku, Dąbiu, Welnocu, Pyskowicach, Bytomiu, Bedzinie, Klimontowie, Czeladzi, Mysłowicach itd. to 80.500 nowych izb.

Dodajmy do tego 20 tys. oddzielnych domków, jedno i dwurodzinnych, jakie powstają już w Sosnowcu, a otrzymamy ponad 100 tys. nowych izb dla samego tylko Zagłębia Węglowego.

Budowy prowadzone są na terenie całego województwa: w Częstochowie powstają dwie nowe dzielnice

mieszkańców: Raków i Śródmieście o łącznej ilości 11 tys. izb. Powstają nowe gmachy w Zawierciu, Bielsku-Białej, Dzierżicach, Cieszyźnie i Bedzinie.

Ogółem w Planie 6-letnim Śląsk otrzyma 130 tys. nowych izb, z czego jeszcze w roku bieżącym zostanie oddanych blisko 11 tys. a dalsze 14 tys. wykonanych będzie w stanie surowym.

To niespotykane dotychczas tempo rozbudowy różni zasadniczo naszą epokę od burżuazyjnej. Ale nie tylko tempo. Jakże oddmienne są mieszkania robotników, budowane obecnie — od tak zwanych „kolonii robotniczych” urządzanych przez kapitalistów dla ofiar ich wyzysku.

Kolonie takie powstawały przy większości kopalń i hut śląskich tuż przy murze fabrycznym, narażone na wylewy kominów i pieców. Jedno, lub dwupiętrowe bloki z poddaszami ustawiano jeden przy drugim w odstępach nie przekraczających 10 metrów. Ciasne, ze wspólnym zlewem i ubikacją pośrodku podwórza. Bose, mizerne dzieci szukały słońca i zabawy w rynsztokach ulicznych. A z okna do którego słońce prawie nigdy nie docierało — rozciągał się widok na sąsiedni blok z murem czarnym od sadzy.

Oto one ponure „kolonie”, które kapitaliści budowali po to, aby jeszcze bardziej przykuć robotnika do warsztatu, aby uzależnić i podporządkować go sobie ostatecznie. O szkołach i zieleniach nie było wtedy komu myśleć.

Domki budowane w Polsce Ludowej, zaopatrzone w wodę, urządzenie kanalizacyjne, a niektóre także i w gazowe, dostosowywane są do potrzeb robotników i ich rodzin. Mieszkania dwu i trzypokojowe, o dużych, pełnych słońca oknach, otoczone zielenią, przylgają się z dala buczącej fabryce. Zabudowania gospodarskie — umieszczone w oddalonym krańcu dzielnicy nie wpływają ujemnie na estetyczny wygląd całości. Obok osiedli powstają żłobki, przedszkola, sklepy. Ogółem na Śląsku wybudowany zostanie 23 przedsko-

ła, kilkadziesiąt ośrodków zdrowia, żłobków, punktów zbiorowego żywienia, 17 łazni i pralni oraz szereg innych obiektów o przeznaczeniu socjalno-usługowym.

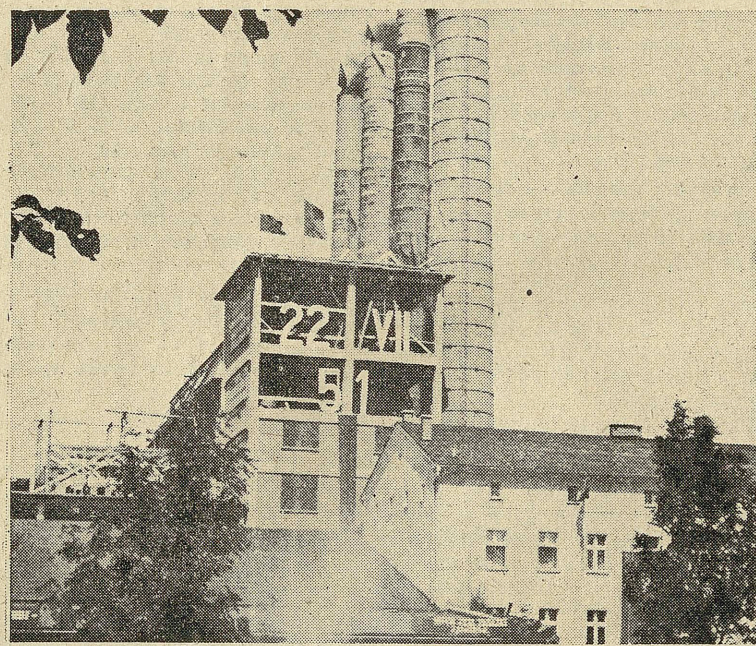
Wznoszone są domy kultury, sale kinowe, szkoły. Największy dom kultury wyposażony w salę mogącą pomieścić 2 tys. osób, sale klubowe i pracownice naukowe — powstanie w Dąbrowie Górniczej.

Jednym z największych spośród budowanych obecnie na Śląsku obiektów szkolnych jest tzw. „miaszeczko młodzieży” w Chorzowie — Batorym. Obok wielkiego kompleksu szkół przysposobienia przemysłowego, składającego się z trzech olbrzymich budynków, powstanie tu Technikum Górnicze, pomieszczenia na warsztaty szkolne, pracownice, internaty itp. Łącznie wzniesionych zostanie 10 budynków nowoczesnych urzędowych i wyposażonych w odpowiedni sprzęt. Potokowa metoda budowy tu. Krajewskiego przejął przez murarzy „miaszeczko” pozwoli oddać do użytku największe tego typu osiedle w Polsce już 1-go sierpnia br.

Powiązanie budownictwa mieszkaniowego z socjalno-kulturalnym i oświatowym, jakie doskonale obserwować możemy na przykładzie Śląska jest przede wszystkim dowodem wszechstronnej troski Rządu o warunki bytowe robotników. A te uległy wielkiej zmianie na lepsze. Można się przekonać o tym rozmawiając z górnikami czy hutnikami, którzy w różnych słowach wypowiadają zgodnie jedną myśl.

„Życie stało się lepsze, towarzysze. Życie stało się weselsze. A gdy życie jest wesole, to i praca idzie dobrze”.

Śląsk, — jak już powiedzieliśmy — otrzyma w Planie 6-letnim 130 tys. nowych izb mieszkalnych. Zaspokoi to częściowo głód mieszkaniowy w tym okręgu, lecz nie rozwiąże problemu jego przeludnienia. Sytuacja ustabilizować może jedynie stworzenie w pobliżu przemysłowego centrum — lecz poza jego obrębem, — dużego ośrodka mieszkalnego. Należało zatem znaleźć miejsce, położone stosunkowo blisko



Katowice, lecz nie narażone na wylewy śląskich kominów, posiadające grunt odpowiadający wymaganiom budownictwa, a jeszcze nie zabudowany.

Po wielu poszukiwaniach wybrano padł na małe, piwowozem jedynym znane miasteczko — Tychy. Oddalone o 30 km od Katowic, otoczone lasami Tychy nie podlegają „trującemu” działaniu przemysłowego centrum: tylko 30 proc. wszystkich wiatrów w Tychach wieje od strony czarnego Śląska — część pozostała, to prądy z gór. Miasto przysięgło — Tychy połączone siecią szybkiej kolei elektrycznej z Katowicami — spełniać będzie rolę dzielnicy mieszkaniowej Nieckiej Węglowej. W okresie Planu 6-letniego Tychy wzrosną do miasta o 30.000 ludności, a w parę lat następnych osiągną 100.000 mieszkańców.

Trudno dzisiaj, kiedy epopeja Tych zaledwie się rozpoczęła, pisać o wszystkich projektowanych wspaniałościach tego obiektu. Chociaż można by to zawrzeć w jednym zdaniu: Tychy — miasto socjalistyczne.

„Życie stało się lepsze towarzysze...” Warunki bytowe klas robotniczej Śląska ulegają ciągłej poprawie. Obok nowych, wspaniałych gmachów mieszkalnych i urządzeń kulturalno-socjalnych, przeprowadza

się intensywną przebudowę i remonty starych dzielnic robotniczych. Do szeregu osiedli przeprowadza się przewody, kanalizacyjne, wodociągowe i urządzenia sanitarne.

Akcją generalnych remontów, których koszt w rozliczeniu na wszystkich mieszkańców województwa wyniesie tysiąc zł na osobę, objętych zostanie ponad pół miliona izb.

Nateżenie budownictwa nowych obiektów i rozmach akcji remontowej nie umniejsza dbałości projektantów o estetykę naszych miast. Na przykład w Pyskowicach i Wodzisławiu odbudowywane są z wielkim piętnem stare zabytłowe kamieniczki w rynku, z końca XVI w., które w czasie działań wojennych uległy zupełnie zniszczeniu.

Zabytkowe budowle odzyskują swój historyczny profil, a budynki z epoki kapitalizmu wyciąga się z niechlujstwa i zaniedbania. Przed szkoła, tonące w promieniach słońca i zieleni rozbrzmiewają szczebiotem najmłodszych. W świetlicach i domach kultury wre prace: zespołowe czytanie gazet, kursy wszechchny radiowej, kursy szybkościowego skrawania metali, próba chóru. — Oto odgłosy rozwijającego się nieustannie nowego życia Śląska, które „stało się weselsze. A gdy życie jest wesole, to i praca idzie dobrze”.

Aleksander Szymanek

HENRYK BEREZA

U KOLEBKIE USA

Amerika na początku swoich dziejów, to znaczy na początku masowej kolonizacji w pierwszych dziesięcioleciach siedemnastego wieku, była schronieniem dla wszystkich, dla których Europa była za ciasną; feudalny jej ład krepował swobodę ekonomiczną; polityczny i religijny ucisk wzbudzał pragnienie wolności. W trzynastu koloniach na atlantyckim wybrzeżu Ameryki Północnej szerzyły się interesy narodowe i społeczne, polityczne i religijne. Wśród kolonistów przeważali Anglicy, Holendrzy, Niemcy, Francuzi i Żydzi. Anglicy byli najliczniejsi. W 1664 r. opanowali niderlandzką kolonię „Nowy Amsterdam”, dzisiejszy Nowy Jork. W 1763 r. zawiązała się francuska Kanada. Kolonie stanowiły własność prywatną, państwową lub należały do angielskich kompanii handlowo-kolonizacyjnych. Różnorodność wrogich niejednokrotnie wyznań religijnych stanowiła w owych czasach istotny czynnik polityczny. Wśród kolonistów znajdowali się purytanie, independenci, kwakrzy, kalwini, luteranie, anglikanie i katolicy. Ludzie ci na amerykańskim lądzie szukali często ucieczki przed prześladowaniami religijnymi. Jeszcze więcej sprzecznosci tkwiło w społecznym układzie sił. W stanach południowych osiedlali się arystokraci, właściciele ogromnych plantacji, na których pracowała niewolnicza ludność murzynska. W 1750 roku w Wirginii 50 procent ludności stanowili niewolnicy murzynscy, których już od roku 1620 przywożono do Ameryki z ich afrykańskiej ojczyzny. W stanach północnych robotnicy, drobni farmerzy, rzemieślnicy tworzyli trzon społeczeństwa, ale stanowili przedmiot wyzysku wielkiej burżuazji, której działalność z drugiej strony krepowała władza angielska. Dla robotników, rzemieślników i drobnych farmerów najdotkliwszym był zezwolenie w roku 1763, który zabraniał osiedlania się na terenach zachodnich, co uniemożliwiałoby uwolnienie się spod zależności ekonomicznej od burżuazji. Wyzyskiwane masy ludowe szły przeciwko rewolucyjnym wystąpieniom przeciwko obszarom i bogactwom. Sytuacja w koloniach w latach siedemdziesiątych osiemnastego stulecia groziła gwałtownym wyładowaniem.

Wielka burżuazja miała także powody do niezadowolona z angielskiej opieki. Burżuazja angielska czuła się zagrożona przez wyłączenie z produkcji przemysłowej. W koloniach nie wolno było budować hut żelaznych, produkować tkanin, rozwijać handel. Anglicy nakładali ogromne podatki, cła i opłaty. Piątego września 1774 roku zebrał się w Filadelfii Kongres Kontynentalny, który uchwalił „Deklarację praw”, żądając od króla swobody przemysłu, zniesienia podatków, na które przedstawicielstwo kontynentu nie wyraziło swojej zgody. Zdecydowana odpowiedź króla, domagająca się bezwzględnej podporządkowania się jego woli osłabiła rewolucyjny zapał burżuazji, której interesy reprezentował Kongres.

Przez długi czas burżuazja nie zdobywała się na prawdziwą walkę z królem, gdyżby nie masy ludowe, które wystąpiły zbrojnie przeciwko okupacyjnej armii. Wiosną 1775 roku farmerzy, robotnicy i rzemieślnicy w Lexingtonie i Concordzie nie pozwolili wojskom angielskim obrabować magazynów broni i żywności, potajemnie przygotowanych przez kolonistów. Rozpoczęła się osmioletnia, uciążliwa wojna, o której Lenin powiedział, że była „jedną z wielkich, naprawdę wyzwolających wojen”, której międzynarodowe znaczenie ocenił Marks, pisząc, że „amerykańska wojna w XVIII o niepodległość brzmiała jak dzwon alarmowy dla burżuazji europejskiej”.

Zrewolucjonizowany Kongres proklamował 4 lipca 1776 roku niepodległość Ameryki i ogłosił tzw. „Deklarację Niepodległości”, zredagowaną przez Tomasa Jeffersona, wybitnego demokratę owych czasów. „Pocytujemy za oczywiste następstwa prawdy, że wszyscy ludzie rodzą się równi sobie... że wszyscy są obdarzeni pewnymi niezrzecanymi prawami, a takim jest prawo do życia, do wolności i do poszukiwania szczęścia. Celem zabezpieczenia tych praw ludzie ustanowili rząd, który legalną władzę otrzymuje od rządzących. Jestli kiedy dla tego celu, jaka bądź forma rządu staje się zgubna, lud ma prawo zmienić ją lub znieść i ustanowić nowe rządy, oparte na zasadach leżących odpowiadających dążeniu do dobrobytu i wolności...”

Przez osiem lat robotnicy i rzemieślnicy, drobni farmerzy i inni ludzie pracy marli z głodu i zimna, padali w nieskończonych marszach i odwrotach z wyczerpania, ginęli od kul najemnych angielskich żołnierzy i własnych rodaków, którzy opowiadali się za panowaniem Anglików. gdy kongresmeni toczyli zawzięte spory o dostawy broni i żywności, gdy kłóciły się między sobą o stanowiska i godności, gdy wielcy obszarnicy gościnie przyjmowali angielskich oficerów, gdy walczyli u ich boku z „podłymi rebeliantami”. W czasach „proby ludzkich dusz” według sformułowania wybitnego pisarza Tomasa Paine’a,

„narod amerykański zdobył się na największy wysiłek, na największe bohaterstwo. Narod amerykański rozumiał, że „niełatwo jest pokonać piekło”, że „im cięższa jest walka, tym wspanialszy będzie triumf...” Narod amerykański za długie cierpienia, za krew na polach Valley Forge, Manhattanu, na ulicach Bostonu i Filadelfii otrzymał konstytucję, w której „ani Murzynom, ani Indianom praw obywatelskich nie nadano. Nawet wobec białych kolonistów zastosowano cenzus majątkowy w celu ograniczenia ilości wyborców”. Wyborcami mogli być tylko ci, którzy opłacali podatki bezpośrednio.

Nie dziwnego, że farmerzy, robotnicy i biedota miejska, na których senatorowie, właściciele fabryk i plantacji chcieli zrzucić także finansowe koszty wojny o niepodległość, już w czwartym roku po zakończeniu wojny wywołali powstanie zbrojne pod wodzą uczestnika walk o niepodległość Daniela Shaysa. Powstanie to zostało krwawo stłumione. Wielka burżuazja stanów północnych wiedziała, gdzie należy szukać sprzymierzeńców przeciwko masom ludowym. Centralistyczna konstytucja z roku 1787, roku powstania Shaysa, jest wynikiem sojuszu burżuazji północnej z arystokracją południową. Zgodą na zachowanie niewolnictwa Murzynów nie była zbyt wielką ceną za wydatną pomoc w ujarzmieniu mas ludowych.

U kolebki burżuazji republiki amerykańskiej leży więc oszustwo, dokonane na narodzie amerykańskim, który wywalczył niepodległość. Klasa panująca Stanów Zjednoczonych ma więc daleko sięgające tradycje, jeśli chodzi o ucisk i wyzysk narodu.

II

Burżuazji historycy nie szczędzą wysiłków, by zafałszować prawdę o narodzinach „ojczyzny Waszyngtona”. Wynaleźli cały szereg mitów. M. in. Jerzy Waszyngton w tej historiografii wielkości swoją przysłonił nie tylko daleko wybitniejszym ludzi swojej epoki jak np. Jeffersona, ale wielkość mas ludowych, którym klasa panująca Stanów zawdzięcza swoje uniezależnienie od panowania angielskiego.

Dalej niż historycy posunęli się poszukiwacze tradycji historycznych w dziedzinie literatury pięknej. W okresie międzywojennym istniały w Ameryce dość silne tendencje do twórczości o tematyce historycznej. Tematyce osiemnastowiecznej i okresowi wojny o niepodległość poświęciły swoje powieści pisarze niezwykle w Ameryce rozkręcający: znany u nas dobrze Kenneth Roberts i Hervey Allen.

Hervey Allen, autor wielkiej powieści „Antoni Adverse”, patrzy na epokę powstania Stanów Zjednoczonych od strony wpływów ówczesnej międzynarodowej ekspansji, „od strony importu i eksportu od strony businessu, kontrabandy, piratów, handlu niewolnikami i rozkwitu plantacji bawlnianych i tytoniowych nad brzegami Mississippi”. Ten nie maskujący się ideolog imperializmu amerykańskiego z całą świadomością przeciwstawia bohaterstwu żołnierzy Waszyngtona zażęgi businessmenów, handlarzy niewolników, odznaczających się okrucieństwem, drapieżną zachłannością, brakiem jakiegokolwiek skrupułów moralnych i ludzi tych uważa za prawdziwych twórców państwowości amerykańskiej. Ten cyniczny pieśń imperializmu stwarza wizję osiemnastego wieku według ideologii dzisiejszych władców Białego Domu. W historycznej masce pieje Hervey Allen hymn pochwalny na cześć imperialistycznych zamysłów panowania nad światem.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że podobnie sady historyków i pisarzy o okresie kształtowania się państwa i narodu amerykańskiego są powszechnie uznane przez oficjalną opinię, głoszone z katedr uniwersyteckich, wielkość dzieła Howarda Fasta, który postanowił odkłamać historię Ameryki, przedstawia się we właściwych rozmiarach.

Problematyka wojny o niepodległość poświęcił Fast trzy powieści historyczne: „Zrodzeni w wolności”, znana w przekładzie polskim pod tytułem „Bitwa nad Valley Forge” (1939), „Niezwyciężony” (1942), „Obywatel Tom Paine” (1943). Powieści te, pomimo takich czy innych zastrzeżeń, dotyczących warsztatu pisarskiego Howarda Fasta, dają prawdziwy obraz rewolucji amerykańskiej, odsłaniają jej istotę, demaskują „pobożne” sady burżuazyjnych historyków.

Trzy powieści Fasta stanowią jak gdyby trzy etapy w kształtowaniu się jego wiedzy o epoce narodzin narodu i państwa amerykańskiego.

„Bitwa nad Valley Forge” (posługując się tytułem polskiego przekładu) wyraża tezę Fasta, że powstanie niepodległego narodu amerykańskiego dokonało się na drodze cierpienia i walk podstawowych, dolnych warstw społecznych: robotników, rzemieślników i drobnych farmerów, że w cierpieniach tych przełamywały się odrębności poszczególnych kolonii, rozdziło się poczucie wspólnoty interesów, kształtowała się solidarność narodowa. Dla

przeprowadzenia tej tezy wybrał Fast dzieło armii rewolucyjnej w czasie strasznej zimy 1777 roku, gdy zdiesiątkowane oddziały rewolucyjne, pozbawione żywności i ubrania w najpotworniejszych warunkach przetrwały najcięższy okres, zahartowali się w znoszeniu trudów i niewygód. Szczęśliwie ram fabularnych pozwolił Fastowi nakreślić tylko konflikt: masy żołnierskie — dowództwo armii, ale obraz ten jest transpozycją konfliktu: masy ludowe — burżuazja. Bohaterowie powieści Fasta, prości żołnierze Waszyngtona zdają sobie z tego sprawę.

„Ci wasi wielcy ludzie z Bostonu mylą się bardzo, jeżeli myślą, że walczymy dla nich. Nie znają tego kraju, o który walczymy. Od tysięcy lat ludzie szukali takiej ziemi, na której zapanuje wolność...”

Powieść „Niezwyciężony” ma charakter ataku na zakłamana historiografię burżuazji.

Nie tylko arystokracja i wielka burżuazja wyzyskuje rozstrzygnięcia, także „klasy średnie odczekały z ulgą i znanymi, że już czas utworzyć sklepy i zdjąć okiennice. Dla nich okupacja (angielska) znaczyła stabilizację, znaną, że mogła na nowo podjąć interesy, oparte nie na obietnicach płacenia i papierowej monety, ale na dobrym solidnym złocie...”

W powieści „Obywatel Tom Paine” charakterystycznie Fast rewolucję amerykańską w perspektywie europejskiej rewolucji burżuazyjnej, dokonując trafnej analizy nurtów społecznych w Anglii i Francji, obraz rewolucji amerykańskiej, rzucając na płaszczyznę dążności innych społeczeństw, co pozwala na ocenę amerykańskiej rewolucji z perspektywy światowej. „Obywatel Tom Paine” jest chyba najmniejszą powieścią Fasta i jest ideologicznie podsumowaniem wiedzy Fasta o osiemnastym wieku i amerykańskiej wojnie o niepodległość.

Jako młota powieści wziął Fast cytując z Beniamina Rusha z 1784 roku, w którym wyodrębnione jest pojęcie wojny amerykańskiej, która się skończyła i rewolucji amerykańskiej, która się bawni w roku 1783 nie skończyła, „Skończył się załadowanie pierwszego aktu tego potężnego dramatu”.

Postać Tomasa Paine’a, angielskiego proletariusza, od roku 1774 teoretyka demokratycznej rewolucji burżuazji w Ameryce, inicjatora zaburzeń proletariackich w Anglii, członka Zgromadzenia Narodowego we Francji, wiecznego rewolucjonisty, wspaniale nadaje się na bohatera powieści nawet o najrozleglejszych perspektywach.

Ideolog rewolucji farmerów i rzemieślników był bezkompromisowy w stosunku do arystokracji i feudalizmu. W swoim „Zdrowym roz-

sądku” Paine pisał, że „stara zasada monarchii zawiera w sobie coś niewymownie śmiesznego”. „W Anglii całe zajęcie króla polega na prowadzeniu wojen i rozdawaniu dóbr, czyli mówiąc po prostu, na łupieniu narodu i trzymaniu go za łeb. Niezły interes dla człowieka, któremu płaci się za to osiemset tysięcy szterlingów rocznie i na dodatek otacza cześć! W obliczu Boga i dla społeczeństwa jeden uczywy człowiek jest pożyteczniejszy, niż wszyscy ukoronowani lejdacy, którzy kiedykolwiek żyli na świecie”. Farmerzy i rzemieślnicy potrafili przez osiem lat walczyć przeciwko Anglikom, ale zachłystali się ochłapami wolności i nie potrafili wystąpić przeciwko Kongresowi, fabrykantom i obszarnikom. Powstanie Shaysa było manifestacją niezadowolonych, ale nie było rewolucją. W chwiejności farmerów i rzemieślników znajduje się główna przyczyna tragedii amerykańskiej rewolucji. Zalałami się także jej ideolog Tomasz Paine. Tragiczne jest jego niezrozumienie istoty rewolucji francuskiej. Paine nie umiał wyobrazić sobie żyrodystami i jakobinami i zbliżał się raczej do pierwszych. „Obywatel Tom Paine” zawiera elementy krytyki amerykańskich rewolucjonistów, ich drobno-mieszczącej ograniczoności.

Wielki pisarz, demaskując zakłamanie sądów burżuazyjnych historyków i pisarzy, dając prawdziwy obraz amerykańskiej wojny o niepodległość i amerykańskiej rewolucji, chciał wskazać na tradycję walk narodu amerykańskiego o wolność i sprawiedliwość z jednej strony, i na tradycję zdrady narodowej i wyzysku amerykańskiego przez amerykańskie klasy panujące z drugiej strony. Bo co się zmieniło w praktykach amerykańskiego Kongresu przez sto pięćdziesiąt lat jego istnienia? „W kuluarach Kongresu zatwierdzano wszystko. Jedni starali się o ochronę wojskową swoich miasteczek czy wsi. Południowcy starali się o to, by Kongres uznał tytoń za niezbędny artykuł aprobaty armii, jeszcze inni o dekret dozwolający na dostawę rumu do obozów żołnierskich. Fabrykanci węgeln próbowali sprzedać owce po cenie czterokrotnie wyższej od ceny rynkowej. Maszyny nowojorskie usiłowały umorzyć Kongresowi, że wojsko powinno być żywność wyłącznie mięsem. Farmerzy Nowej Anglii dowodzili, że najlepszym pożywieniem dla żołnierza jest twardy”. Sto pięćdziesiąt lat temu parlament amerykański frymarczył krwią swego narodu, a dziś władcy Ameryki chcą frymarczyć krwią narodów całego świata. Ale dziś narody świata na żadną amerykańską propagandę złożyć się nie dadzą.

Henryk Berez

SEWERYN SKULSKI

BRANSON

(Ze wspomnień amerykańskich)

WEST Virginia Coal Co., w stanie West Virginia, to jedna z galz wielkiego trustu baronów węglowych w stanach wschodnich. Kopalnie tego trustu leżą w małych miejscowościach, daleko od centrów wielkoprzemyślowych. W miejscowościach tych baron węglowy jest absolutnym panem życia i śmierci pracujących w kopalniach górników i ich rodzin. Gdy się ktoś urodził w takiej węglowej miejscowości i nigdzie dalej nie wyjechał, to przez całe życie nie będzie znał pieniędzy Stanów Zjednoczonych, gdyż miejscowość ta jest feudalnym państwem barona węglowego. Baron węglowy za pracę wypłaca własnym pieniądze, za które można nabyć odzież, ubiwanie i żywność tylko w jego sklepach, ponieważ inni tam nie ma, a w innej miejscowości nie pieniądze — kupony, nie są ważne.

W kopalniach West Virginia Coal Co., pracują Polacy, Jugosławianie, Włosi, Murzyni i inni. Ale wszyscy oni są „murzynami”. Pracują w kopalniach nie swoich. Bardzo często nawet życie nie do nich należy. Tam szeryf powiatu nigdy się nie wtrąca w to, dlaczego jednego lub kilku górników zostało zabitych, dlaczego ktoś został pobity aż do kalectwa, dlaczego rodzinę lub kilka rodzin z kompanijnej budy wyrzuceno na drogę, dlaczego ktoś kogoś nożem porwał, oblał wrzącą smołą. Tam porządku strzeże prywatna policja barona węglowego. Szeryf ze swoimi ludźmi dopiero wówczas wkrocza, gdy strajk staje się masowy, gdy baron węglowy już nie dowierza siłom własnej policji.

W górzystej części stanu West Virginia jest górnicza miejscowość Moundsville. Stan West Virginia sąsiaduje ze stanem Maryland, gdzie znajduje się Distric Of Columbia a więc stolica kraju Washington, jedyną ponoc z najbardziej cywilizowanych miast na świecie. Górniczy pracujący dla West Virginia Coal Co., w bliskim sąsiedztwie tak pięknego i szlachetnego miasta, postanowili przez zorganizowanie się w unię górniczną, wypowiedzieć walkę fe-

dalnym warunkom baronów węglowych.

Walka była długa i ciężka. Policja barona węglowego i ludzie szeryfa szli na wyściół w wyrzucaniu rodzin z bud kompanijnych, rozbijaniu głów, kopaniu ciężarych żon górników i aresztowaniach. Główny zarząd unii górniczej, widząc słuszną walkę górników, ślad drogą sklasyfikacji robotniczej odziedziczył z życznością i lekarską. Rzeczy to trzeba było przemycić do rodzin górniczych nocą i ukryciem, ponieważ niszczyła je policja, a przylapanego sądził sędzia powiatowy, człowiek barona węglowego, za „włóczęgostwo”, ponieważ prawo stanu za włóczęgostwo karze i to ciężko.

Główny zarząd unii górników, przysłał na miejsce walki młodego Amerykanina, zdolnego mówcę i organizatora. Ten Amerykanin nazywał się Branson. Już następnego dnia po pierwszym mówie, wygłoszonej do górników, znikł jak kamień w wodę. Na drugi dzień „Wheeling News” wychodzący w mieście Wheeling, donosił, że nocą jakiegoś włóczęgę przejechał pociąg.

Dziwno to był pociąg, który w ciele zostawił kilka kul rewolwerowych.

Branson nie był Polakiem, ani Włochem ani nawet Murzynem. Był Amerykaninem z rodziny od wieków osiedle w stanie New Jersey. Był białym Amerykaninem, czyli ojca Stanów Zjednoczonych Washingtona, i wielkiego prezydenta Lincolna. Kochał konstytucję i szanował prawo.

Branson w ostatnim liście do swojej matki pisał:

„Mamo. Jestem zdrowy. Nie wiem jak tu w tej West Virginii pięknie. Góry porośnię lasami przyciągają oczy. Rzeki aż proszą aby w chłodnej wodzie ciała odczyszczyć i ptaki pięknie śpiewają. tylko krzywdy i biedy tu za wiele. Ale wierzymy w nasz naród, w naszą klasę robotniczą. Prawda i sprawiedliwość musi zwyciężyć. Dla prawdy i dla człowieka żyć warto”.

Branson na pewno zwyciężył! Seweryn Skulski

JERZY WINNICKI

PERSPEKTYWY AMERYKAŃSKIE

Jesteśmy pod boskim przewodem, abyśmy się troszczyli o dobro naszego sąsiada i pomagali jednemu drugiemu, gdyż wszyscy ludzie są bożymi sługami i nikt nie ma prawa być traktować swoich bliźnich...”

Wszyscy bankierzy, obecni na uroczystości w Intepedence, w stanie Missouri, mieli łzy w oczach, słysząc to kazanie z ust Trumana, prezydenta Stanów Zjednoczonych. Plakali bankierzy, plakali fabrykanci zabawek dziecięcych, które po napełnieniu materiałem wybuchowym, lotnicy amerykańscy zrzucają „w darze” dzieciom koreańskim, plakał sędzia Medina i gangster Costello. Nawet prominentni miejscowi, ku-klux-klanowcy, mieli łzy w oczach.

Prawdziwe jednak wzruszenie ogarnęło zagranicznych „sąsiadów” Harry S. Trumana, gdy przeczytał do końca wydrukowaną mowę prezydenta USA. „Sąsiad” jak wiadomo, w języku atlantyckim oznacza równie dobrze Anglików, Francuzów, Holendrów, jak i Persów, Hindusów, Etiopów, Islandczyków, Brazylijczyków albo inaczej: Adenauera, Haldera, Kruppa, Manteuffla, Li Syn-mana, Ciang Kai-szeka, filipińskiego prezydenta, Quirino i „cesarza” Bao Dai.

„...postawiliśmy do dyspozycji nasze zasoby i naszą pomoc wszystkim tym narodom, które wierzą w wolność tak samo jak i my. Pomoc naszą ma na celu dopomożenie tym narodom do wzrośnięcia w siły i zbliżenia się do naszych wspólnych ideałów”.

Tak brzmi w faryzeuszowskiej interpretacji bogobojnego prezydenta Stanów Zjednoczonych „ideologiczna” postawa planu Marshalla i paktu atlantyckiego.

Cele polityki amerykańskiej w skali międzynarodowej sformułował jednak kilka lat wcześniej jeden z najwybitniejszych „ideologów” imperializmu amerykańskiego, John Mac Cormack, w książce pt. „America and World Mastery” („Ameryka i panowanie nad światem”). Pan Mac Cormack uczynił to, co prawda, w sposób pozbawiony trumanowskiego uroku mistycznego, ale za to o wiele jaśniejszy.

„Z każdym dniem upewniam” się, że Stany Zjednoczone nie tylko muszą stanąć na czele ludów mówiących po angielsku, aby odnieść zwycięstwo, za co nagrodą będzie wolność świata, ale po opanowaniu świata powinny nim pokierować...”

Jak wyobrażają sobie amerykańscy „uczeni w piśmie” ów przyszły „wolny” świat, zbliżony do wzruszających „ideałów” Trumana. Pobożnego, wyjaśnia nam amerykański, z przeproszeniem, „uczony”, niejaki Gay Irving Barch, w artykule ogłoszonym w „naukowym” czasopiśmie amerykańskim „Population Bulletin”:

„Cyfra teoretycznie słusza — pisze pan Barch — ludność globu ziemskiego jest prawdopodobnie niższa od 750 milionów ludzi. Ta cyfra różni się znacznie od obecnej, wynoszącej 2 miliardy 250 milionów ludzi. Należy bezwzględnie ustalić program zmniejszenia ludności kuli ziemskiej...”

Pobożny prezydent Stanów Zjednoczonych, Harry S. Truman, gorliwie przykłada swą pieczęć pod ludobójczymi planami imperializmu amerykańskiego:

„Jeśli dla zachowania pokoju (!) na całym świecie okaza się potrzebne użycie bomby atomowej, my ją wykorzystamy bez wahania”.

Wiemy już więc dokładnie ku czemu zmierza polityka Stanów Zjednoczonych. Świat ma być „wolny” po opanowaniu go przez Stany Zjednoczone, a po wytopieniu około 2 miliardów ludzi, reszta, pod kierownictwem USA, ma wieść „amerykański tryb życia”, zgodnie z pobożnymi „ideałami” Trumana.

Pakt atlantycki jest niedwuznacznie wymierzony w Związek Radziecki, Chiny Ludowe, państwa demokracji ludowej i Niemiecłą Republikę Demokratyczną. Jawnie ogłoszone przez Waszyngton plany wojenne wskazują wyraźnie i bez obłonek kierunek na Wschód. I w imię tego przedsięwzięcia rządy satelickie Waszyngtonu mają pomóc imperialistom amerykańskim w zmóntowaniu gigantycznej maszyny wojennej. Ale wiemy przecież, że ZSRR, Chiny, kraje demokracji ludowej — to mniej więcej połowa ludności globu ziemskiego. „Program” zaś imperializmu amerykańskiego „przewiduje” wytopienie około 2 miliardów ludzi. Któż zatem ma „uzupełnić” brakujące w amerykańskim planie zagłady setki milionów ofiar waszyngtońskiej zagłady panowania nad światem?

Na to pytanie odpowiada znany podżegacz wojenny, przywódca „Partii Republikańskiej” w USA, konkurent Trumana do fotela prezydenta Stanów Zjednoczonych, senator Taft:

„Mam nadzieję, że Europejczycy zdają sobie sprawę z tego, iż w wypadku konfliktu, ich miasta zostaną zniszczone przez lotnictwo. Ostatnio miało to miejsce w Korei”. Taftowi wtóruje senator Millikin: „Na wypadek wojny przeciw Rosji, ośrodki przemysłowe Europy powinny być zburzone”.

A senator Fulbright, z partii prezydenta Trumana, dodaje: „Pomożemy Europejczykom, niszcząc ich miasta”.



Podżegacz wojenny Churchill — w karykaturze.

Oto perspektywę dla narodów, których rządy zgodziły się przyjąć „pomoc” Stanów Zjednoczonych, aby — jak powiedział amerykański prezydent — faryzeusz — „dopomoć tym narodom do wzrośnięcia w siły i zbliżenia się do naszych wspólnych ideałów”.

Ideałów...

Szaleńcy, planujący wymordowanie dwóch trzecich ludzkości, zachowali jednak na tyle trzeźwości, aby zdawać sobie sprawę, że nie będą w stanie tego dokonać tylko rękami amerykańskich żołnierzy.

Ze szczególną dlatego poażliwością spoglądają ku krajom, które przeszły „szkołę faszyzmu”, oplacający ją wielomilionowym haraczem „miesa armatniego”. Imperialiści amerykańscy wierzą, że kraje te są niejako predysponowane do wystawiania wielkich armii i oddawania krwi w służbie wojen imperialistycznych.

„Niemi, którzy zawsze byli znakomitymi żołnierzami — pisze amerykańska gazeta „Times Herald” — chętnie będą walczyć przeciwko tradycyjnym wrogom — Słowianom ze Wschodniej Europy — aniżeli przeciwko swym braciom z Zachodu.” Ergo —

Żołnierzom niemieckim płacić będzie drobny ułamek tego, co musielibyśmy wydać na żołnierzy amerykańskich” — oświadcza członek Izby Reprezentantów USA, Robert Poage.

Ergo... „Sa na świecie obszary, na których można uzyskać dodatkowych żołnierzy za mniejszą ilość dolarów, niż w Stanach Zjednoczonych. — Chcemy, żeby Turcy mieli większą armię, Turcy, dodatkowy żołnierz” kosztowałby nas 200 dolarów... Natomiast amerykański „dodatkowy żołnierz” kosztuje nas 10.000 dolarów”. („Christien Science Monitor”).

Rozważania swe komentator gazety amerykańskiej kończy w sposób następujący:

„Idealnym rozstrzygnięciem kwestii z amerykańskiego punktu widzenia byłoby utworzenie sojuszu wojskowego pomiędzy Turcją, Grecją i Jugosławią. Sojusz ten dałby nam więcej tanich dywizji, niż wszystkie kraje Europy Zachodniej, razem wzięte”.

To się nazywa gonić w piętę. Najpierw uderzyć na Europę Zachodnią z hitlerowskimi pogrobówkami na czele, a na koniec Turcy i siepacze Tita więcej wydają się Wall Street obliczać niż cała razem wzięta Europa Zachodnia. Ale Tito przecież siedzi na wulkanie terroru zldawionych sił rewolucji, ale naród grecki to przecież ujarzmiona Grecja...

Toteż naczelny teoretyk imperializmu amerykańskiego James Burnham, w książce pt. „O panowanie nad światem” zaleca hipokryzję na wszystkich frontach:

„Rozumie się, że próba ustanowienia imperium światowego nie może się udać, jeśli będziemy otwarcie zapowiadali dążenia do stworzenia imperium światowego. Należy zatem posługiwać się formułkami łatwiejszymi do przyjęcia, jak na przykład: „Federacja Światowa”, „Republika Światowa”, „Stany Zjednoczone Świata”, „Rząd Światowy”, „A NAWET „NARODY ZJEDNOCZONE”...”

Te ostatnia formułka zastosował imperializm amerykański, od roku na Korei.

Włodzimierz Lenin w mowie, wygłoszonej w listopadzie 1918 roku, powiedział:

„Anglia i Ameryka, które mają większą, niż jakikolwiek kraj, potencjonalną możliwość pozostania demokratycznymi dochodzą do takiego stopnia zdżdzienca i głupoty, jak poprzednio Niemcy. Dlatego też Anglia i Ameryka zbliżają się również szybko, jeśli nie szybciej jeszcze, do takiego samego końca, jaki tak bezapelacyjnie spotkał imperializm niemiecki. Pecznią od najpierw, rozpostarli się na trzy czwarte Europy, poróżnili niesłychanie w tuszce, wtedy pekl, pozostawiając po sobie okropną wni. I to jest koniec, do którego zmierzają imperializmy W. Brytanii i Ameryki”.

Jerzy Winnicki

ANDRZEJ GROBELNY

Mąka a czujność

ZDAWAŁOBY się, że są to dwa doświadczenia o sobie odległe pojęcia. Praktyka wykazuje, że tylko pozornie.

O tym, że przednówek był niedługo najcięższą porą dla pracującego chłopstwa — wiedzą na wsi wszyscy. I o tym, że był on okresem bezczelnego wyzysku biedoty przez zasobne w zboże kuliactwo. A także o tym, że Polska Ludowa dla przycięcia kuliactwa pazurow przeznaczyła do sprzedaży na przednówek dla mało i średniorolnych chłopów 50 tys. ton mąki żytniej po cenach hurtowych.

Ale nie wszyscy zdają się wiedzieć, że od sprawnego i szybkiego rozdzwania tej mąki zależy realna wartość pomocy państwowej dla wsi. I nie wszyscy pamiętają, że kuliactwo przeciwdziała każdej akcji rządu robotniczo-chłopskiego. Lecz najcięższe, że nie pamiętają o tym, że czasami ci, co pamiętają, powinni najpierw.

Przykładem podobnego zaniku pamięci jest gmina Kamionka w pow. lubartowski. Gmina liczy 11 gromad. Posiada Gminną Spółdzielnię. Ta, oczywiście, musi posiadać prezesa. A prezesa nazywa się Łukasiewicz.

— No, chłopcy — rzekł pewnego dnia do sołtysów 11 gromad prezes Łukasiewicz. Ze przy spółdzielni jest magazyn. To wiecie. Więc o tym mam nie gadam. Ale że w magazynie jest już rządowa mąka, to nie wiecie. Więc o tym gadam. A reszta należy do was. Zróbcie listy, komu i ile trzeba tej mąki. Żeby nikogo nie skrzywdzić.

Bo taki już był chłop sprawiedliwy. Z natury.

Sołtysi poszli. W niedługim czasie wrócili trzech, niosąc za pazuchą listy potrzebujących mąki. O reszcie słuch zaginął.

— Sprzedajcie, prezesku, bo w gromadach brak chleba... poprosili grzecznie ci, co wrócili.

— Nie da rady — orzekł po odczłowieku prezesa. Trza poczekać na wszystkich.

Jak trza, to trza. Sołtysi zwiesili głowy i wrócili z rezygnacją do chałup. I czekają. Tydzień, drugi.

Prasa regionalna

W ostatnim okresie „Głos Szczeciński” uchodził — może — za najlepszą gazetę jedną z najlepszych redagowanych gazet prowincjonalnych. Mamy tu na myśli zarówno dobór i układ materiału jak i jego charakter i jakość.

Wiemy na przykład nr 189 z 12 lipca b. r. Już pierwsza strona wprowadza nas w istotną problematykę — jest niejako jej ekspozycja. Ciężar zagadnień w danym dniu spoczywał na sprawach województwa i krajowych. Czołowy artykuł poświęcony jest rozpoczynaniu znowu w kraju. Nijez widzi myślniki o przebiegu wykonania Czynu Lipcowego. Jednocześnie na tej samej stronie gazeta porusza problemy własnego terenu. Oto dwa: szpalowy ciąg wiadomości o budowie wielkiej bazy rybackiej w Suwiniu i potężnego kombinatu rybnego sztandarowego obiektu Planu 6-letniego w województwie szczecińskim. Dalej wiadomości o zobowiązaniach znowu z terenu województwa. Wreszcie artykuł mobilizujący do walki ze stonką ziemniaczaną, która pojawiła się w tamtejszym terenie.

Na dalszych stronach podstawowe zagadnienie walki o produkcję znajduje konkretny wyraz. O to artykuł Jana Babińskiego o problemie obniżki kosztów własnych w Szczecińskich Zakładach Włókien Sztucznych w Żydowicach, gdzie autor omawiając dotychczasowe osiągnięcia pod tym względem oraz metody, za pomocą których obniżka kosztów została dokonana, wskazuje na dalsze możliwości — sposoby potania i polepszenia produkcji.

Dalej reportaże o POM w Bani i spółdzielcach z RZS w Smolnicy przygotowujących się do znowu.

Na szczególną uwagę zasługują także artykuły o problemach pracy politycznej w terenie w ramach cyklu „O ulepszenie stylu pracy KP w Łobzie”.

W tym samym numerze w związku z zbliżającą się 25 rocznicą śmierci Dzierżyńskiego znajdujemy recenzję z jego „Pism Wybranych” i fragment opowiadania T. Borowskiego.

Wszystkie rysunki w b. nr. „W si” wykonał Stefan Gierowski.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL
Redakcja Komitet
Adres Administracji: Warszawa, ul. Wiejska Nr. 12, tel. 40180—90
Warszawa, ul. Starynkiewicza Nr. 7.
Prenumerata i Kierownictwo: P. P. K. „Ruch”. Oddział w Warszawie, ul. Śrebrna 12, tel. 814-20 do 25. Wewnętrzny 91. 63
REDAKCJA NIE ZAMOWIOWYCH REKOPISÓW NIE ZWRACA.
Wpłaty na prenumeratę można dokonywać Plac 3 Krzywy 16, Chmielna 25.
W a r u n k i p r e n u m e r a t y:
miesięcznie 3—zł.; kwartalnie 9—zł.; półrocznie 18—zł.; rocznie 36—zł.;
Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto POKO. Warszawa
1 — 6842/110 z zaznaczeniem „za tyg. „Wies”.

RSW PRASA Warszawa, Marszałkowska 3/5 2-B-30785

TADEUSZ GIGCIER

DELEGACJE NA ZLOT

Już tylko... dni dzielą nas od daty otwarcia w Berlinie III Światowego Zlotu Młodych Bojowników o Pokój. Ze wszystkich części świata, z najbardziej oddalonych zakątków globu ziemskiego przybędzie do Berlina młodzież, aby w czasie dwutygodniowego Festiwalu zacieśnić więzy braterstwa i międzynarodowej solidarności, zwrócić jeszcze mocniej front walki o pokój, dokonać przeglądu swych osiągnięć w tej walce. Wielegocześnie, a jednakowo w swym wyrazie głos pokoju, głos siły i nadziei — rozlegnie się w miejscu, gdzie tego najbardziej wymaga potrzeba.

Trzeci Światowy Festiwal Młodzieży zapowiada się o wiele bardziej imponująco, niż dwa poprzednie. Świadczy o tym przygotowania w Berlinie, świadczą czyny przedzłotowe młodzieży wszystkich krajów. Na wieść o zwołaniu Zlotu nawet koczownicze plemiona Australii, które dotychczas nigdy nie opuściły swego kontynentu, zgłosiły chęć wysłania delegacji do Berlina.

Młodzież polska już od kilku tygodni żyje myślą o Zlocie, na którego część podjęła i realizuje szeroko zakrojone zobowiązania produkcyjne, społeczne, sportowe i inne. Młodzi robotnicy, uczniowie, harcerze przygotowują liczne podarunki i pamiątki dla uczestników Festiwalu. W ramach akcji przedzłotowej odbywają się imprezy i zbiórki na fundusz solidarnościowy, z którego pokryte zostaną koszty wyjazdu delegacji młodzieży krajów kapitalistycznych, kolonialnych i zależnych.

Dokonano już wyboru delegatów na Festiwal. Młodzież łódzka reprezentować tam będzie 42-ch przedstawicieli walki o pokój. Oprócz nich na Złot wyjadą z Łodzi dwa zespoły taneczne oraz kilku najwybitniejszych młodych sportowców. W skład delegacji wejdą również harcerze, którzy zamieszkają w specjalnym miasteczku pionierskim pod Berlinem.

Jest letnie południe. Ulicą 8-go Marca, wiodącą od Piotrkowskiej do Kilińskiego, idziemy w kierunku Zakładów im. Stalina. Po drodze mijają nas grupki tkać — to czas zmiany. Idą do domu przygotować śpieszne obiady, aby potem móc jeszcze jak najdłużej korzystać z pogodnego dnia, odczekać na powieśnię w parku lub ogrodzie. Wśród mijających nas robotników znajduje się dużo młodych dziewcząt — to ich barwne sukienki, ich gwar ożywił najbardziej ulicę.

Po jednej stronie olbrzymie, rozrzucone klony i topole, po drugiej —

LESZEK GOLIŃSKI

MIASTO MŁODZIEŻY

Minął już okres, kiedy Wrocław — stolica Ziemi Odzyskanych był pupilem naszej prasy. Dzisiaj w województwie wrocławskim i jego stolicy pisze się już „tylko” tyle, co o innych miastach. Czy powód do rozgoryczenia dla „wrocławskich patriotów”? Wprost przeciwnie. Powód do słusznej dumy. Po prostu pupil — dorósł, stał się pełnowartościowym obywatelem Ludowej Ojczyzny. Ba, wyprzedził pod względem rozwoju inne dzielnice.

Aczkolwiek województwo wrocławskie zajmuje tylko 6 proc. obszaru Polski, to jednak mieszka w nim 6,9 proc. ludności całego kraju. Z ludności tej tylko 32 proc. zajmują się rolnictwem, 68 proc. pracuje zaś w zakładach nierolniczych, co świadczy o wysokim stopniu uprzemysłowienia tego regionu. Stąd też i siła nabywcza ludności naszego województwa jest znacznie wyższa od przeciętnej siły nabywczej w Polsce i stanowi 9,8 proc. siły nabywczej ludności całego kraju.

Nie poprzestaniemy jednak na dotychczasowych osiągnięciach. W Planie 6-letnim czeka nas dalszy wysiłek nad rozbudową wrocławskiej bazy produkcyjnej.

W województwie naszym powstaje ponad 20 wielkich i średnich zakładów przemysłowych.

Do sławnych tradycji przeszły już pionierskie wysiłki pierwszych budowniczych PAFAWAG-u. Dziś pracują pełną parą obok fabryki wagonów, zastąpione „Wodomierze”, Archimedes, Fabryka silników, M5...

Przez rozbudowę tych obiektów, przez budowę nowych — produkcja przemysłowa naszego województwa wzrosła do roku 1955 przeszło dwukrotnie w porównaniu z rokiem 1949, a zatrudnienie w samym przemysle zwiększył się do 300.000 osób.

Ten wzrost produkcji i zatrudnienia pociągnął jednak za sobą konieczność rozwiązania innego podstawowego problemu naszego województwa: budownictwa mieszkaniowego.

Szczególnie ostro problem ten występował w samym Wrocławiu. Trudno było rozwiązać to zagadnienie od reki — miasto potrzebowało odbudowy i przebudowy, potrzebowało

rzad czerwonych budynków, w oknach skrzynki z kwiatami.

Na „Nowej Tkalni” rozpoczęła już pracę druga zmiana. Sala tętni rytmem kilkuset maszyn. Ten rytm — i ciągły ruch krosien sprawia wrażenie, że idą one jak szereg ludzkie w pochodzie.

Nad warsztatami sieć hydrantów, rozpylająca wodę. W niskim, oszklonym dachu pracują wentylatory. Na sali jest widno, powietrze czyste, nie odczuwa się tu gorąca mimo upalnego dnia.

Miedzy krosnami poruszają się ludzie. Cztery, sześć, dwanaście krosien — niemałej trzeba szybkości, aby nadążyć ze zmianą wątku, niemałej uwagi, aby utrzymać towar od braków.

Starsi, doświadczeni tkacze i tkaczki radzą sobie z tym dość łatwo. Trudniej młodszym — ale pracują już w zespołach, pomagają sobie wzajemnie, nie rezygnują z wykonania bazy. Od czego młodość, zapal, ambicja przodowania, zwłaszcza, kiedy się zna cel i znaczenie swej pracy...

Jeśli zaś masz jakieś trudności ze zrozumieniem tego celu, pomoże ci w ich usunięciu Henryka Cupryn, przewodnicząca pracy, tkająca na 12-tu krosnach — delegatka na Złot berliński. Znają dobrze koleżanki Cupryn młode robotnice i robotnicy „Nowej Tkalni”, znają i darzą zaufaniem, inaczej nie wybrałby jej chyba radną młodzieżową w Radzie Zakładowej, a tym bardziej nie powierzyłby godności reprezentowania młodzieży zakładów na Festiwalu w Berlinie.

„Moje rodzice — mówi Henryka Cupryn — byli małorolnymi chłopami. Latem ojciec wynajmował się do pracy sezonowej, a zimą siedział w wyrąb lasu. Kiedy nie było pracy w lesie, chodził do bogaczy młócić żyto. Matka też chodziła do bogatych gospodarzy jako praczka, a myśmy się całą piątką zostawiali w domu. O nauce nie było nawet mowy, bo na książki i zeszyty nie starczyłoby pieniędzy.

Po wyzwoleniu przyjechałam ze starszą siostrą do Łodzi — i tu zaczęłam pracować, jako pomoc tkaczki. Zaopiekowała się mną fabryczna koła ZMP — dzięki temu już po dwóch tygodniach stanęłam samodzielnie przy sześciu krosnach.

Nasz nowy ustrój zmienił też życie rodziców, którzy otrzymali ziemię z reformy rolnej. Tatusz gospodarzy i pracuje w Radzie Gminnej, nie wysługując się już nikomu. Młodsza siostra i bracia, chodzą do szkoły w naszej wsi. Widząc, że zmiany, zrozumiałam bardzo wiele rzeczy. One też popchnęły mnie do organizacji młodzieżowej i zaczęłam pracować z większym zapałem,

energicznej akcji odgruzowania, potrzebowało dziesiątek, setek i tysięcy mieszkań dla szybko rosnącej liczby robotników. Miasto szybko nabrało charakteru robotniczego, bieżąco kombinowano częściej się trafia u nas w tramwaju, niż „pleczer” i pasiste skarpety. Trzeba było mieszkać i jeszcze raz mieszkać. Zaczęła się historyczna „bitwa o dachy”, aby uratować jak największą ilość potrzebujących domów od zniszczenia. Zaczęły się remonty bloków mieszkalnych i całych dzielnic. Dzielnic te leżały poza centrum miasta i nie można ich było urzecz z okien kolejowego wagonu. Stąd gadka, że odbudowa Wrocławia nie rusza z martwego punktu.

Remonty w województwie wrocławskim obejmują ogółem 275.000 izb! Do tego dojdzie około 63.000 izb nowoobudowanych. Sam Wrocław otrzyma dwa nowe osiedla mieszkaniowe: Śródmieście i Krzyżki z około 14.000 izb mieszkalnych.

Odbudowa Politechniki Wrocławskiej jest właściwie jej rozbudową. Powstające w tej chwili frontalne gmachy przy Pl. Grunwaldzkim wykonane zostaną całkowicie jeszcze w tych miesiącach dzięki przedterminowemu zobowiązaniu zalogi budowlanych. W drugim semestrze roku akademickiego budynki zostaną oddane do użytku, wzbogacając tym samym wrocławski ośrodek naukowy.

Jest on już dzisiaj jednym z najważniejszych w kraju pod dwoma względami.

Po pierwsze, wrocławski ośrodek naukowy jest ośrodkiem najbardziej nowego typu. Nie ma on obciążenia przedwojennych uniwersytetów. Procent młodzieży robotniczej i chłopskiej na uniwersytecie wrocławskim — ze względu na socjalny skład mieszkańców miasta, jest bardzo wysoki, wyższy, niż gdziekolwiek indziej w Polsce.

Po drugie — dzięki obecności tu wielu uczonych o dużej sławie naukowej oraz nader dogodnym warunkom dla przeprowadzania badań, żeby wspomnieć chociaż Zakład Mikrobiologii prof. Ludwika Hirsfelda lub Państwowy Instytut Matematyczny prof. Hugo Steinhausa — młodzież uniwersytecka

List z Łodzi

Herbatnikowa pomoc

przechodząc z sześciu krosien na dwanaście.

Henryka Cupryn, córka małorolnego chłopca, stoi dziś w pierwszych szeregach proletariatu. W jej pracy i działalności organizacyjnej znajduje najlepszy wyraz sojus robotniczo-chłopski — podstawa władzy ludowej. Młodzież łódzka nie powstydzi się chyba takiej delegatki na III-cim Światowym Festiwalu.



Z kolegą Miształem znamy się od czasu powstania łódzkiego Komitetu Przygotowawczego do Zlotu w Berlinie. Zenon Miształ jest frerem w Włocławskiej Fabryce Maszyn Włókienniczych. Opracował wniosek racjonalizatorski, który zwiększył znacznie wydajność pracy.

Jak do niego doszedł? — Nieraz widziałem, jak robotnica ciężko pracowała nad czyszczeniem wałków do maszyn włókienniczych, zwanych przewijarkami. Mogła wyczyścić do 35 takich wałków dziennie. Wpadłem na myśl zastanowienia nowego rodzaju szczytki czyszczącej. Obecnie robotnica ta czyści 350 wałków dziennie.

— A jak młodzież waszych zakładów przygotowuje się do Zlotu?

— Mamy szereg zobowiązań produkcyjnych. Kolega Jezierski z ZMP podniesie wydajność o 5 proc., kol. Barwiński o 3 proc., kol. Golas o 5 proc. Ten ostatni jest niezorganizowany. Przygotowujemy też podarunki dla młodzieży niemieckiej — gospodarzy Zlotu. Będzie to wykonany z metalu znaczek zetempowski i kowadełko.

— Jeśli na Zlocie któryś z członków delegacji zagranicznej zapyta o warunki, w jakich żyje i pracuje nasza młodzież — to co kolega powie mu na ten temat?

— Powiem chyba o tym, co sam obserwuję. Jest przy naszych zakładach „Dom Młodego Robotnika”, wybudowany dla młodzieży spoza Łodzi — przeznaczone dla niej. Mam tam kolegów — porównują oni często los swych rodziców, którzy za czasów sanacyjnych przyjeżdżali szukać zarobku w mieście, ze swym życiem i pracą. Rodzice mieszkali gdzieś katem, byli wyzyskiwani przez fabrykantów — i nie widzieli przed sobą żadnej przyszłości. Kolegami opiekują się ludowe państwa, które nie tylko, że uprzęstniło im naukę w Szkole Przemysłobienia Przemysłowego, pomogło w zdobyciu zawodu — i w ten sposób stworzyło im możliwości dalszego awansu społecznego, ale utrzymuje ich dalej w nowoczesnej burżuazji, gdzie mają świetlice, radio, gry sportowe, własne kółka dramatyczne i wiele innych kulturalnych rozrywek.

Tadeusz Gicgier

List z Wrocławia

ma możliwość osiągnięcia jak najwyższego poziomu wiedzy. Nic dziwnego, że już dzisiaj wyższe uczelnie Wrocławia ściągają młodzież doświadczone z całego kraju. Nie bez znaczenia są tu również stosunkowo dogodne warunki mieszkaniowe — dzielnica akademicka na Śródmieściu, najpiękniejszej części miasta, liczne domy akademickie itd.

Miasto robotnicze musi wiązać jak najściślej życie kulturalne z potrzebami światła pracy. Po tej linii poszły wszystkie instytucje kulturalne Wrocławia i wydaje się, że postąpiły najstosowniejsz. Stałym i chlubnym „nawykiem” stały się częste wizyty w terenie, w fabrykach. Takie właśnie drogi rozwojowe nakreśliła teatrom doznałskim konferencja organizacji partyjnych w teatrach. Z tych założeń wychodził studenci polonistyki, pracując na terenie kół ZMP-owskich zakładów wrocławskich. Z tych założeń wychodził członkowie Koła Młodych Pisarzy, wchodząc w kontakt ze szkolnymi i zakładowymi kołami literackimi.

Wrocław nie posiada natomiast swojego pisma literackiego. Czynione były i są próby rozszerzenia składu redakcyjnego „Życia Literackiego” i na Wrocław. Byłoby to nader pożądaną. Jeśli bowiem stosunkowo często ukazują się w prasie ogólnopolskiej recenzje i noty z życia kulturalnego stolicy, wydaje się rzeczą krzywdzącą, by nie wspominać o tak poważnych ośrodkach kulturalnych, jak Poznań, Kraków czy Wrocław. Co prawda, w ostatnim czasie daje się zauważyć dodatni objaw ukazowania się recenzji lub omawiania ważniejszych wydarzeń kulturalnych na prowincji. Czyny to „Trybuna Ludu”, czyni „Nowa Kultura”, czyni „Wies”.

W czym tkwi największy urok Wrocławia? Wrocław jest miastem dzieci i młodzieży — jest potężną kuznią młodych kadr. Kadry te rosną w uczelniach, w szkołach zawodowych, fabrykach. Kadry te przeobrażają oblicze tej ziemi, każą dymić kominom Wzowa, każą rosnąć czerwonym murem Politechniki. Miasto nasze spokojnie patrzy w przyszłość. Jego losy dzierżą silne, robociarskie ręce.

Leszek Goliński

Sołtys Woli Rz. dzisiaj się. Wiedział już bowiem o zebraniu bogaczy u Michaśa i o tym, że już stary Bunda rozpoczął swą robotę u Katarzyny B.

Musieliście przesiadkę dobrego stracha im napuścił — powiedział — kiedy wręczyłem mu kartkę z podpisami „opornych”.

— Nie było żadnych strachów. Ale wszystko to nie jest jeszcze tak, jak powinno być. Michaś St. swojego konika częściej herbatnikami, i z tej samej fantazji kiedy chce częściej pomocą sąsiadka. Może jednak będzie z tego coś naprawdę, kiedy dobrze zrozumie, że zboża w kraju musi być więcej.

Powiedzieć mi, jak się to robi? Nie odpowiedziałem sołtysowi, bo jak wiadomo nie ma jeszcze na to gotowej recepty.

Stefan Stodolny

Książki nadesłane

KSIĄŻKA I WIEDZA

Róża Luksemburg — Kryzys socjaldemokracji poprzedzane pracą W. I. Lenina o broszurze Juniusa — str. 169 — 1-Maj, Materiały historyczno — literackie — str. 263.

W. Mawrodin — Walka z „Teorią normanską” w rosyjskiej nauce historycznej — str. 35 (2 egz.) — Rolnictwo radzieckie.

M. Zadorow — Daleki kraj — str. 311.

Kazimierz Koźniewski — Biela plebiana w Wolbromiu — str. 54.

Miejszczew — Elektryczne oko str. 57.

A. P. Kozulnikow — O książce W. I. Lenina „Dwie taktyki” — socjaldemokracji w rewolucji demokratycznej — str. 51. — Wielka wojna narodowa Związku Radzieckiego — str. 46.

Michaś Lynkow — Opowiadania — str. 220.

Andrzej Braun — Reportaż serdeczny — str. 116.

W. Gaponow — Elektry — str. 62.

Wanda Suchecka i Krzysztof Strzelecki — Jadwiga Niemcewicz — gdzie pierwszym wytypiaczem — str. 63.

S. Biegali — Wielki mały Seida — str. 15.

W. Osiejewa — Nic trudnego — str. 15.

Antoni Kuźniecowa — Jaskółka — str. 14.

Witalij Bianki — Siła nie jest wszystkim — str. 15.

A. Leontiew — O dziele W. I. Lenina „Imperializm jako najwyższe stadium kapitalizmu” — str. 88.

Antonina Wallentin — Leonardo da Vinci — str. 47.

J. Smirnow — Komsomolski zespół szkolnictwa politycznego — str. 114.

Anna Miłska — Shgirtaria — ojczyzna górskich orłów — str. 61.